3 1761 08822366 4

H. Sienkiewicz

PISMA

XXVI

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXVI.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM XXVI

PÓJDŹMY ZA NIM
LUX IN TENEBRIS LUCET
BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA
LISTY O ZOLI
WYCIECZKA DO ATEN

486089
17.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1901

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Сентября 1900 г.

PÓJDŹMY ZA NIM!

I.

Kajus Septimus Cinna był patrycyuszem rzymskim. Młodość spędził w legionach i twardem obozowem życiu. Później, wrócił do Rzymu, by używać sławy, rozkoszy i wielkiego, lubo już nieco zachwianego majątku. Użył też wówczas i nadużył wszystkiego, co dać mogło olbrzymie miasto. Noce spędzał na ucztach we wspaniałych podmiejskich willach; dni schodziły mu na szermierkach u lanistów, na rozmowach z retorami w tepidaryach, gdzie prowadzono dysputy, a przytem opowiadano plotki z miasta i świata, — w cyrkach, na wyścigach, lub zapasach gladyatorów, — wśród lutnistów greckich, wśród wróżek trackich i cudnych tancerek, sprowadzanych z wysp Archipelagu. Krewny przez matkę sławnego niegdyś Lukulla, odziedziczył po nim zamiłowanie do wytwornego jadła. Na stołach jego podawano greckie

wina, ostrygi z Neapolis, koszatki z Numidyi i tłuste szarańcze, duszone na miodzie z Pontu. Wszystko, co posiadał Rzym, musiał posiadać i Cinna, począwszy od ryb z morza Czerwonego, aż do białych pardw z nad brzegów Borystenu. Używał on jednak nietylko jak żołnierz, który szaleje, ale jak patrycyusz, który przebiera. Wmówił w siebie, a może i wzbudził zamiłowanie do rzeczy pięknych: do posążków, wydobywanych ze zgliszcz Koryntu, do epilychniów z Attyki, do waz etruskich lub sprowadzanych z mglistego Sericum, do mozaik rzymskich, do tkanin z nad Eufratu, do arabskich wonności i tych wszystkich osobliwych drobiazgów, które wypełniały czczość patrycyuszowskiego życia. Umiał też o nich rozmawiać, jak znawca i miłośnik, z bezzębnymi starcami, którzy przyozdabiali do stołu łysiny w wieńce z róż, a po ucztach żuli kwiat heliotropu, by oddech płuc uczynić wonnym. Odczuwał również piękność Cyceronowskiego okresu, wiersz Horacego lub Owidyusza. Wychowany przez retora Ateńczyka, mówił biegle po grecku, umiał na pamięć całe ustępy z «Iliady» i w czasie uczt mógł śpiewać tak długo pieśni Anakreonta, dopóki się nie spił, lub nie ochrypł. Przez swego mistrza i innych retorów, otarł się o filozofię i zapoznał się z nią o tyle, że rozumiał architekturę różnych umy-

słowych gmachów, powznoszonych w Helladzie i Osadach; rozumiał i to również, że wszystkie leżały w gruzach. Znał osobiście wielu stoików, do których żywił niechęć, uważał ich bowiem raczej za partyę polityczną, a prócz tego za tetryków, przeciwnych wesołemu życiu. Sceptycy zasiadali często przy jego stole, obalając między potrawami całe systemy i głosząc przy kraterach napełnionych winem, że rozkosz jest marnością, prawda czemś niedoścignionem, i że celem mędrca może być jedynie martwy spokój.

Wszystko to obijało się o jego uszy, nie wnikając do głębi. Nie wyznawał on żadnych zasad i nie chciał ich mieć. W postaci Katona widział skojarzenie się wielkiego charakteru z wielką głupotą. Życie uważał za morze, na którem wieją wiatry, dokąd chcą — a mądrością była dla niego sztuka nadstawiania im żagla tak, by łódź popychały. Prócz tego, cenił szerokie ramiona, które posiadał, zdrowy żołądek, który posiadał, i piękną rzymską głowę o orlim profilu i potężnych szczękach, którą posiadał. Był też pewny, że z tem można jakoś przejść przez życie.

Nie należąc do szkoły sceptyków, był życiowym sceptykiem, ale zarazem hedonikiem, chociaż wiedział, że rozkosz nie jest szczęściem. Prawdziwej nauki Epikura nie znał, skutkiem

czego sam poczytywał się za Epikurejczyka. Wogóle na filozofię patrzał jak na umysłową szermierkę, równie dobrą jak ta, której uczyli laniści. Gdy go rozprawy znudziły, szedł do cyrku patrzeć na krew.

W bogów nie wierzył, tak samo jak w cnotę, prawdę i szczęście. Wierzył tylko we wróżby i miał swoje przesądy, a oprócz tego, tajemnicze wiary Wschodu budziły jego ciekawość. Dla niewolników był dobrym panem, o ile chwilowa nuda nie przywodziła go do okrucieństwa. Mniemał, że życie jest wielką amforą, którą im lepszy gatunek wina wypełnia, tem jest ciemniejsza, więc starał się swoją wypełnić jak najlepszem. Nie kochał nikogo, ale lubił wiele rzeczy, między innemi zaś własną orlą głowę o czaszce wspaniałej — i swoją kształtną patrycyuszowską nogę.

W pierwszych latach hulaszczej epoki, lubił także zadziwiać Rzym, i udało mu się to kilkakrotnie. Później zobojętniał i na to.

II.

W końcu zrujnował się. Majątek rozdrapali wierzyciele, Cinnie natomiast pozostało znużenie, jakby po wielkim trudzie, przesyt i jeszcze jedna, bardzo niespodziana rzecz, mianowicie ja-

kiś głęboki niepokój. Użył przecie bogactwa, użył miłości, tak, jak ją świat ówczesny rozumiał; użył rozkoszy, użył sławy wojennej, użył niebezpieczeństw; poznał mniej więcej zakres myśli ludzkiej, zetknął się z poezyą i sztuką, więc mógł sądzić, że wziął z życia wszystko, co ono dać mogło. Tymczasem teraz miał takie uczucie, jakby czegoś zaniechał — i to czegoś najważniejszego. Nie wiedział jednak co to jest, i próżno łamał sobie nad tem głowę. Nieraz próbował się z tych rozmyślań i z tego niepokoju otrząsnąć, próbował w siebie wmówić, że w życiu nic więcej niema i być nie może, ale wówczas niepokój jego, zamiast się zmniejszać, wzrastał natychmiast do tego stopnia, iż mu się zdawało, że się niepokoi nie tylko za siebie, ale za cały Rzym. Jednocześnie zazdrościł sceptykom i zarazem miał ich za głupców, ponieważ twierdzili, że próżnię można doskonale wypełnić niczem. Było w nim teraz jakby dwóch ludzi, z których jeden zdumiewał się nad własnym niepokojem, drugi uznawał go mimowoli za zupełnie słuszny.

Wkrótce po utracie majątku, dzięki możnym rodzinnym wpływom, wysłano Cinnę na urzędowanie do Aleksandryi, trochę w tym celu, by w bogatym kraju odbudował na nowo majątek. Niepokój siadł z nim na okręt w Brundisium

i towarzyszył mu przez morze. W Aleksandryi myślał Cinna, że sprawy urzędu, nowi ludzie, inny świat, nowe wrażenia uwolnią go od natrętnego towarzysza — i omylił się. Upłynął miesiąc, dwa — i równie jak ziarno Demetry, przywiezione z Italii, wschodziło jeszcze bujniej na żyznym gruncie Delty, tak i ów niepokój z bujnego krzewu zmienił się jakby w cedr rozłożysty i począł rzucać coraz większy cień na duszę Cinny.

Z początku próbował Cinna zagłuszyć się takiem życiem, jakie dawniej prowadził w Rzymie. Aleksandrya była rozkosznem miastem, pełnem Greczynek o płowych włosach i jasnej cerze, którą egipskie słońce powłóczyło bursztynowym przezroczym połyskiem. W ich to ramionach szukał ukojenia.

Lecz gdy i to okazało się próżnem, począł myśleć o samobójstwie. Wielu jego towarzyszów zbyło się trosk życia właśnie w taki sposób i z powodów jeszcze błahszych, niż powód Cinny: często z nudy tylko, z czczości lub z braku ochoty do dalszego używania. Gdy niewolnik trzymał miecz zręcznie i dość silnie, jedna chwila kończyła wszystko. Cinna chwycił się tej myśli, lecz gdy już prawie postanowił pójść za nią, powstrzymał go dziwny sen. Oto zdawało mu się, że gdy przewożono go przez rzekę, spostrzegł

na drugim brzegu swój niepokój, w postaci wynędzniałego niewolnika, który, skłoniwszy mu się: rzekł: «Uprzedziłem cię, by cię przyjąć.» Cinna zląkł się po raz pierwszy w życiu, zrozumiał bowiem, że skoro o pogrobowem istnieniu nie może myśleć bez niepokoju, to pójdą tam we dwóch.

W ostateczności, postanowił zbliżyć się do mędrców, od których roiło się Serapeum, sądząc, że może u nich znajdzie rozwiązanie zagadki. Ci wprawdzie nie potrafili nic mu rozwiązać, ale za to mianowali go «τοῦ μουσείου», który to tytuł przyznawali zwykle Rzymianom wysokiego rodu i znaczenia. Na razie mała to była pociecha, i stempel mędrca, dany człowiekowi, który nie umiał sobie odpowiedzieć na to, co go obchodziło najżywiej, mógł wydawać się Cinnie ironią — przypuszczał jednak, że Serapeum może nie odrazu odsłania całą swą mądrość — i nie tracił zupełnie nadziei.

Najczynniejszym między mędrcami w Aleksandryi był szlachetny Tymon Ateńczyk, człowiek możny i obywatel rzymski. Mieszkał on od kilkunastu lat w Aleksandryi, dokąd przybył dla zgłębienia tajemniczej nauki egipskiej. Mówiono o nim, że nie było ani jednego pergaminu lub papirusu w Bibliotece, któregoby nie przeczytał — i że posiadł całą mądrość ludzką.

Był przytem człowiekiem słodkim i wyrozumiałym. Wśród mnóstwa pedantów i komentatorów o skrzepłych mózgach, Cinna wyróżnił go odrazu i wkrótce zawarł z nim znajomość, która po pewnym czasie zmieniła się w bliższą zażyłość, a nawet w przyjaźń. Młody Rzymianin podziwiał jego biegłość w dyalektyce, wymowę i rozwagę, z jaką starzec mówił o rzeczach wzniosłych, dotyczących przeznaczeń człowieka i świata. Uderzało w nim szczególnie to, że owa rozwaga była połączona jakby z pewnym smutkiem. Później, gdy zbliżyli się z sobą, niejednokrotnie brała Cinnę ochota zapytać starego mędrca o powód tego smutku, a zarazem otworzyć przed nim własne serce. Jakoż w końcu do tego przyszło.

III.

Pewnego wieczoru, gdy po gwarnych rozprawach o wędrówce dusz, zostali sam na sam na tarasie, z którego widok był na morze, Cinna, wziąwszy rękę Tymona, wyznał otwarcie, co mu było największem udręczeniem życia, i dla jakich powodów starał się zbliżyć do uczonych i filozofów z Serapeum:

— Tyle przynajmniej zyskałem, — rzekł w końcu — żem poznał ciebie, Tymonie, i teraz

wiem, że jeśli ty nie rozwiążesz zagadki mego życia, nikt inny tego uczynić nie zdoła.

Tymon wpatrywał się czas jakiś w wygładzoną toń morską, w której odbijał się nów księżyca, poczem rzekł:

— Widziałeś, Cinno, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków północy? Czy wiesz, czego one szukają w Egipcie?

— Wiem. Ciepła i światła.

— Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które oznacza prawdę. Ale ptaki wiedzą, dokąd lecieć po swe dobro, dusze zaś latają po bezdrożach, w zabłąkaniu, smutku i niepokoju.

— Czemu, szlachetny Tymonie, nie mogę znaleźć drogi?

— Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się, jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofia będzie dla dusz słońcem prawdy — dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach i w Rzymie, i w Akademii w Atenach, i tu, siedzą sceptycy, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wnieśli niepokój. Bo wyrzec się świata i ciepła jest to zostawić dusze w ciemności, która jest niepokojem. Więc, wyciągnąwszy ręce przed siebie, szukamy po omacku wyjścia...

— Zali i ty go nie znalazłeś?

— Szukałem i nie znalazłem. Tyś szukał go w rozkoszy, ja w myśleniu — i obu nas jednaka mgła otacza; wiedz przeto, że nie sam jeden się dręczysz, i że w tobie dręczy się dusza świata. Wszakże oddawna już nie wierzysz w bogów?

— W Rzymie czczą ich jeszcze publicznie i sprowadzają nawet nowych z Azyi i Egiptu, ale wierzą w nich szczerze chyba tylko przekupnie jarzyn, którzy z rana przyjeżdżają ze wsi do miasta.

— I ci są jedynie spokojni.

— Równie jak ci, którzy tu biją pokłony kotom i cebuli.

— Równie jak ci, którzy, jak syte zwierzęta, nie pragną niczego więcej, tylko snu po jadle.

— Lecz czyli wobec tego warto żyć?

— Zali wiemy, co nam przyniesie śmierć?

— Więc jakaż jest różnica między tobą a sceptykami?

— Sceptycy godzą się na ciemność, lub udają, że się godzą, ja zaś męczę się w niej.

— I nie widzisz wybawienia?

Tymon umilkł na chwilę, poczem odrzekł zwolna, jakby z pewnem wahaniem:

— Czekam go.

— Skąd?

— Nie wiem.

Potem wsparł głowę na dłoni i jakby pod

wpływem ciszy, która zalegała tarasy, począł mówić równie przyciszonym głosem:

— Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nic więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy niczem więcej być nie mogli nad to, czem jesteśmy, toby nie było w nas niepokoju... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofia zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam.

. . . . . .

Nadspodziewanie, rozmowa ta przyniosła Cinnie wielką ulgę. Usłyszawszy, że nietylko on jest chory, ale cały świat chory, doznał takiego uczucia, jakby ktoś zdjął z niego ogromny ciężar i rozłożył go na tysiące ramion.

IV.

Od owego czasu przyjaźń, łącząca Cinnę ze starym Grekiem, stała się jeszcze ściślejszą. Odwiedzali się teraz często i dzielili się tak myślami, jak chlebem w czasie uczt. Cinna zresztą, mimo swych doświadczeń i znużenia, które idzie za użyciem, był zbyt młody, by życie nie miało jeszcze chować dla niego ponęt nieizna-

nych — i taką właśnie ponętę znalazł w jedynej córce Tymona, Antei.

Sława jej nie była mniejszą w Aleksandryi od sławy ojca. Wielbili ją dostojni Rzymianie, bywający w domu Tymona, wielbili Grecy, wielbili filozofowie z Serapeum, i wielbił lud. Tymon nie zamykał jej w gineceum, jak były zamykane inne kobiety, i starał się przelać w nią wszystko, co sam wiedział. Gdy wyszła z lat dziecinnych, czytywał z nią księgi greckie, a nawet rzymskie i hebrajskie, gdyż, obdarzona nadzwyczajną pamięcią, a wychowana w różnojęzycznej Aleksandryi, wyuczyła się biegle tych języków. Była mu ona towarzyszem w myślach, często brała udział w rozprawach, jakie podczas sympozyonów prowadzono w domu Tymona, często w labiryncie trudnych zagadnień umiała, jak Aryadna, nie zabłąkać się sama i drugich za sobą wyprowadzić. Ojciec miał dla niej podziw i cześć. Otaczał ją prócz tego urok tajemnicy i niemal świętości, albowiem miewała sny wróżebne, w których widywała rzeczy niewidzialne dla zwykłych oczu śmiertelnych. Stary mędrzec kochał ją, jak duszę własną, jeszcze i dlatego, że obawiał się ją stracić, częstokroć bowiem mówiła, że w snach zjawiają jej się jakieś istoty, dla niej złowrogie — i jakieś dziw-

ne światło, o którem nie wie, czy będzie źródłem życia, czy śmierci.

Tymczasem jednak otaczała ją tylko miłość. Egipcyanie, którzy bywali w domu Tymona, zwali ją Lotusem, może dlatego, że kwiat ten odbierał boską cześć na wybrzeżach Nilu, a może także dlatego, że kto ją raz ujrzał, mógł zapomnieć o całym świecie.

Piękność jej bowiem dorównywała mądrości. Egipskie słońce nie przyćmiło jej twarzy, w której różowe promienie świtu zdawały się być zamknięte w przezroczu muszli perłowej. Oczy jej miały błękit Nilu, a spojrzenie płynęło z równie nieznanych oddaleń, jak wody tej tajemniczej rzeki. Gdy Cinna ujrzał i usłyszał ją po raz pierwszy, wróciwszy do siebie, miał ochotę w atrium swego domu wznieść na jej cześć ołtarz i ofiarować na nim białe gołębie. Spotykał on w życiu tysiące kobiet, począwszy od dziewcząt z głębokiej Północy o białych rzęsach i włosach barwy dojrzałych zbóż, aż do czarnych jak lawa Numidek — ale nie spotkał dotychczas ani takiej postaci, ani takiej duszy. I im częściej ją widywał, im lepiej poznawał, im częściej zdarzało mu się słuchać jej słów, tem bardziej rosło jego zdumienie. Chwilami, on, który nie wierzył w bogi, przypuszczał, że Antea nie może być córką Tymona, tylko jakie-

goś boga, więc nawpół tylko jest kobietą, nawpół zaś nieśmiertelną.

I wkrótce pokochał ją miłością niespodziewaną, ogromną i nieprzepartą, tak różną od uczuć, jakich doznawał dotychczas, jak Antea była różną od innych kobiet. Chciał ją posiadać tylko po to, aby ją czcić. Gotów zaś był oddać krew, by posiadać. Czuł, że wolałby być żebrakiem z nią, niż cezarem bez niej. I jak wir morski porywa z niepohamowaną potęgą wszystko, co znajdzie się w jego okręgu, tak miłość Cinny porwała jego duszę, serce, myśli, jego dni, noce i wszystko, z czego się składa życie.

Aż wreszcie porwała i Anteę.

— Tu felix, Cinna! — powtarzali mu przyjaciele. — Tu felix, Cinna! — powtarzał sam sobie — i gdy ją wreszcie zaślubił, gdy jej boskie usta wyrzekły sakramentalne słowa: »Gdzie ty, Cajus, tam i ja, Caja« — wówczas zdawało mu się, że szczęście jego będzie, jak morze — nieprzebrane i bez granic.

V.

Rok przeszedł, i ta młoda żona odbierała zawsze przy ognisku domowem cześć niemal

boską; była mężowi źrenicą oka, miłością, mądrością, światłem. Ale Cinna, porównywając swe szczęście z morzem, zapomniał, że morze miewa odpływy. Po roku Antea zapadła na okrutną, nieznaną chorobę. Sny jej zmieniły się w straszne widzenia, które wyczerpywały jej życie. Na jej twarzy zgasły promienie świtu, została tylko przezroczystość muszli perłowej; ręce jej poczęły przeświecać, oczy zapadły głęboko pod czoło — i różowy lotus stawał się coraz bardziej białym lotusem, tak białym jak twarze umarłych. Zauważono, że jastrzębie poczęły krążyć nad domem Cinny, co w Egipcie było wróżbą śmierci. Widzenia stawały się coraz straszliwsze. Gdy w południowych godzinach słońce zalewało świat białym blaskiem, a miasto pogrążało się w milczenie, zdawało się Antei, że słyszy wokół siebie szybkie kroki jakichś niewidzialnych istot, a w głębinach powietrza widzi suchą, żółtą twarz trupią, spoglądającą na nią czarnemi oczyma. Oczy te wpatrywały się w nią uporczywie, jakby wzywając ją, by gdzieś szła, w jakiś mrok, pełen tajemnic i lęku. Wówczas ciało Antei poczynało drżeć, jak w febrze, czoło jej pokrywało się bladością, kroplami zimnego potu, i ta czczona kapłanka domowego ogniska zmieniała się w bezbronne i przerażone dziecko, które, chroniąc się

na piersi męża, powtarzało zbielałemi ustami: »Ratuj mnie, Kajusie! broń mnie!«

I Kajus byłby się rzucił na wszelkie widmo, jakie z podziemia mogła wypuścić Persefona, ale próżno wpijał wzrok w przestrzeń. Naokół, jak zwykle w godzinach południowych, bywała pustka. Biały blask zalewał miasto; morze zdawało się płonąć w słońcu, a w ciszy słychać było tylko kwilenie jastrzębi, krążących nad domem.

Widzenia stawały się coraz częstsze — potem codzienne. Prześladowały one Anteę zarówno nazewnątrz domu, jak w atrium i w izbach. Cinna za poradą lekarzy sprowadzał sambuciny egipskie i Beduinów grywających na glinianych piszczałkach, którzy gwarną muzyką mieli zagłuszać ów szum niewidzialnych istot. Ale okazało się to próżnem. Antea słyszała go wśród największego gwaru, a gdy słońce stanęło tak wysoko, że cień leżał około nóg człowieka, jak osunięta z ramion szata, wówczas w drgającem z żaru powietrzu zjawiała się trupia twarz, i patrząc szklanemi oczyma na Anteę, cofała się zwolna, jakby chcąc jej powiedzieć: »Chodź za mną!«

Czasem wydawało się Antei, że usta trupa poruszają się zwolna, czasem, że wylatują z nich czarne, szkaradne żuki i lecą ku niej przez po-

wietrze. Na samą myśl o widzeniu, oczy jej napełniały się przerażeniem, a w końcu życie stało się dla niej męką tak straszną, że prosiła Cinny, aby jej nadstawił miecz, lub pozwolił wypić truciznę.

A on wiedział, że tego uczynić nie zdoła. Tym samym mieczem powyparałby sobie dla niej żyły, ale zabić jej nie mógł. Gdy sobie wyobrażał tę drogą głowę, martwą, z zamkniętemi powiekami, pełną mroźnego spokoju, i tę pierś rozdartą jego mieczem, wówczas czuł, że chcąc to uczynić, musiałby pierwej oszaleć.

Pewien lekarz grecki powiedział mu, że to Hekate zjawia się Antei, a owe niewidzialne istoty, których szelest przeraża chorą, należą do orszaku złowrogiego bóstwa. Według niego, nie było dla Antei ratunku, kto bowiem ujrzał Hekatę, musiał umrzeć.

Wówczas Cinna, który przed niedawnym jeszcze czasem, byłby się śmiał z wiary w Hekatę, ofiarował jej hekatombę. Ale ofiara nie pomogła, i następnego dnia posępne oczy spoglądały znów o południu na Anteę.

Próbowano zasłaniać jej głowę, ale ona widziała trupią twarz nawet przez najgrubsze zasłony. Gdy była zamknięta w ciemnej izbie, twarz spoglądała na nią ze ścian, rozświecając ciemność swym bladym, trupim blaskiem.

Wieczorami bywało chorej lepiej. Wówczas zapadała w taki sen głęboki, że i Cinnie, i Tymonowi wydawało się nieraz, iż się z niego nie obudzi więcej. Wkrótce zasłabła tak, iż nie mogła chodzić o własnej mocy. Noszono ją w lektyce.

Dawny niepokój Cinny wrócił ze stokroć większą mocą i ogarnął go całkowicie. Był w nim strach o życie Antei, ale było zarazem dziwne poczucie, że choroba jej stoi w jakimś tajemniczym związku z tem wszystkiem, o czem mówił Cinna w pierwszej szczerej rozmowie z Tymonem. Być może, że stary mędrzec myślał to samo, ale Cinna nie chciał i bał się go o to zapytać. Tymczasem chora więdła, jak kwiat, w którego kielichu zagnieździ się pająk jadowity.

Cinna jednak, wbrew nadziei, ratował ją rozpaczliwie. Naprzód wywiózł ją na pustynie w pobliżu Memfisu, lecz gdy pobyt w ciszy piramid nie uwolnił jej od strasznych widzeń, wrócił do Aleksandryi i otoczył ją wróżbitami, czarownikami, zamawiającymi chorobę i wszelkiego rodzaju bezczelną zgrają, która wyzyskiwała za pomocą cudownych leków ludzką łatwowierność. Ale on już nie miał wyboru i chwytał się wszelkich środków.

W tym czasie przyjechał z Cezarei do Ale-

ksandryi sławny lekarz, Żyd, Józef syn Khuzy. Cinna sprowadził go natychmiast do żony — i przez chwilę nadzieja wróciła do jego serca. Józef, który nie wierzył w greckie i rzymskie bogi, odrzucił z pogardą mniemanie o Hekacie. Przypuszczał, że to raczej demony opętały chorą, i radził opuścić Egipt, gdzie, prócz demonów, także i wyziewy błotnistej Delty mogły szkodzić jej zdrowiu. Radził też, może dlatego, że sam był Żydem, udać się do Jerozolimy, jako do miasta, do którego demony nie mają przystępu, i w którem powietrze jest suche i zdrowe.

Cinna tem chętniej poszedł za jego radą, że naprzód nie było już innej, a powtóre, że Jerozolimą rządził znajomy mu prokurator, którego przodkowie byli niegdyś klientami domu Cinnów.

Jakoż, gdy przybyli, prokurator Pontius przyjął ich z otwartemi rękoma i oddał im na mieszkanie własny dom letni, leżący w pobliżu murów. Ale nadzieja Cinny rozchwiała się jeszcze przed przybyciem. Trupia twarz patrzała na Anteę nawet na pokładzie galery — po przyjeździe zaś na miejsce, chora oczekiwała południowej godziny z taką samą śmiertelną trwogą, jak niegdyś w Aleksandryi.

I tak im poczęły schodzić dni w pognębieniu, lęku, rozpaczy i oczekiwaniu śmierci.

VI.

W atrium, mimo fontanny, cienistego portyku i wczesnej godziny, było ogromnie gorąco, bo marmur rozpalił się od wiosennego słońca, ale opodal od domu rosła stara i rozłożysta pistacya, zacieniająca dokoła znaczną przestrzeń. Przewiew, jako w miejscu otwartem, był tam także daleko większy, tam więc Cinna kazał postawić przybraną w hiacynty i kwiat jabłoni lektykę, w której spoczywała Antea. Następnie siadłszy przy niej, położył dłoń na jej bladych, jak alabaster, rękach i spytał:

— Dobrze ci tu, carissima?

— Dobrze — odpowiedziała zaledwie dosłyszanym głosem.

I przymknęła oczy, jakby ją ogarniał sen. Nastało milczenie; tylko powiew poruszał z szelestem gałązkami pistacyi, a na ziemi, wokół lektyki, migotały złote plamki od promieni, przedzierających się przez liście — szarańcze sykały między kamieniami.

Chora otworzyła po chwili oczy.

— Kaju, — rzekła — czy prawda, że w tej ziemi zjawił się filozof, który uzdrawia chorych?

— Oni tu takich prorokami zowią — odpo-

wiedział Cinna. — Słyszałem o nim i chciałem go wezwać do ciebie, ale okazało się, iż to był fałszywy cudotwórca. Bluźnił on przytem przeciw tutejszej świątyni i zakonowi tej ziemi, przeto prokurator wydał go na śmierć, i dziś właśnie ma być ukrzyżowany.

Antea spuściła głowę.

— Ciebie wyleczy czas — rzekł Cinna, widząc smutek, który odbił się na jej twarzy.

— Czas jest w usługach śmierci, nie życia — odpowiedziała zwolna.

I znowu nastało milczenie, naokół migotały ciągle złote plamki; szarańcze sykały jeszcze głośniej, a ze szpar skalnych powysuwały się na głazy małe jaszczurki, szukając miejsc słonecznych.

Cinna spoglądał kiedy niekiedy na Anteę, i po raz tysiączny przelatywały mu przez głowę rozpaczliwe myśli, że wszystkie środki ratunku wyczerpane, że niema ani iskry nadziei, i że wkrótce ta kochana postać stanie się tylko cieniem znikomym i garstką prochu w kolumbaryum.

Teraz już, leżąc z przymkniętemi oczyma, w przybranej kwieciem lektyce, wyglądała jak martwa.

— Pójdę i ja za tobą! — powtarzał sobie w duchu Cinna.

Wtem w oddali dały się słyszeć czyjeś kroki. Twarz Antei stała się natychmiast blada, jak kreda, wpół otwarte jej usta oddychały pośpiesznie, pierś poczęła się podnosić szybkim ruchem. Nieszczęsna męczennica była pewna, że to ów orszak niewidzialnych istot, poprzedzający zjawienie się trupa o szklanych oczach, zbliża się ku niej. Lecz Cinna, chwyciwszy jej ręce, począł ją uspokajać:

— Anteo, nie lękaj się, te kroki słyszę i ja.

A po chwili dodał:

— To Pontius przychodzi do nas.

Rzeczywiście na zakręcie ścieżki ukazał się prokurator, w towarzystwie dwóch niewolników. Był to niemłody człowiek, o twarzy okrąglej, wygolonej starannie, pełnej sztucznej powagi, a zarazem troski i zmęczenia.

— Pozdrowienie ci, szlachetny Cinno, i tobie, boska Anteo! — rzekł, wchodząc pod cień pistacyi. — Otóż po zimnej nocy dzień uczynił się znojny: oby był pomyślny dla was obojga, i oby zdrowie Antei zakwitło, jako te hiacynty i te gałązki jabłoni, które zdobią jej lektykę!

— Pokój z tobą i witaj! — odrzekł Cinna.

Prokurator, siadłszy na odłamie skały, popatrzał na Anteę, zmarszczył nieznacznie brwi — i ozwał się:

— Samotność rodzi smutek i chorobę, a wśród

tłumów niema miejsca na przestrach, więc dam wam jedną radę. Na nieszczęście, tu nie Antyochia ani Cezarea, niema tu igrzysk i wyścigów, a gdyby cyrk stanął, toby go ci zapaleńcy zburzyli na drugi dzień. Tu słyszysz tylko słowo: «zakon» — a temu «zakonowi» wszystko zawadza. Wolałbym być w Scytyi, niż tu...

— O czem chcesz mówić, Pilacie?

— Istotnie odszedłem od rzeczy. Ale to troski tego powodem. Mówiłem, że wśród tłumów niema miejsca na strach. Otóż, możecie dziś mieć widowisko. W Jerozolimie trzeba się byle czem zadowalać, przedewszystkiem zaś trzeba, żeby w południe Antea była wśród tłumów. Dziś umrze na krzyżu trzech ludzi. Lepsze to, niż nic. Przytem, z powodu Paschy, napłynęła do miasta zgraja najdziwaczniejszych drapichróstów z całego tego kraju. Możecie się przypatrzyć temu ludowi. Każę wam dać wyborne miejsce w pobliżu krzyżów. Mam nadzieję, że skarani będą umierali odważnie. Jeden z nich dziwny człowiek: powiada się być Synem Bożym, jest słodki, jak gołąb, i naprawdę nie popełnił nic takiego, przez coby zasłużył na śmierć.

— I skazałeś go na krzyż?

— Chciałem się zbyć kłopotu, a zarazem nie poruszać tego gniazda os, które brzęczą

naokół świątyni. Oni i tak ślą na mnie skargi do Rzymu. Zresztą, przecie nie o obywatela rzymskiego chodzi.

— Ów człowiek nie będzie dlatego mniej cierpiał.

Prokurator nie odpowiedział — i po chwili począł mówić, jakby do siebie:

— Jedna jest rzecz, której nie znoszę, to przesada. Kto przy mnie wymówi ten wyraz, odbiera mi wesołość na cały dzień. Złoty środek! oto czego, według mnie, roztropność nakazuje się trzymać. A niema kąta na świecie, w którymby tej zasady trzymano się mniej, niż tu. Jak mnie to wszystko męczy! jak mnie męczy! W niczem spokoju, w niczem równowagi... ani w ludziach, ani w przyrodzie... Teraz naprzykład wiosna: noce chłodne — a we dnie taki żar, że po kamieniach stąpać trudno. Do południa jeszcze daleko, a patrzcie — co się dzieje! Co zaś do ludzi — lepiej nie mówić! Jestem tu, bo muszę. Mniejsza o to! Znowubym odszedł od rzeczy. Idźcie zobaczyć ukrzyżowanie. Jestem pewien, że ów Nazarejczyk będzie umierał odważnie. Kazałem go chłostać, myśląc, że tym sposobem ochronię go od śmierci. Nie jestem okrutnikiem. Gdy go bito, cierpliwy był jak jagnię, i błogosławił ludziom. Gdy spłynął krwią, wzniósł oczy do góry i modlił się. To

najdziwniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałem. Żona nie dała mi z jego powodu ni chwili spokoju: «Nie dopuść śmierci niewinnego!» — oto co od świtu kładła mi w uszy. Chciałem. Dwukrotnie wstępowałem na bimę i przemawiałem do tych zaciekłych kapłanów i do tej parszywej tłuszczy. Odpowiadali mi jednym głosem, przewracając w tył głowy i rozdzierając szczęki aż do uszu: «Ukrzyżuj!»

— Ty zaś ustąpiłeś? — rzekł Cinna.

— Bo w mieście byłyby rozruchy, a jam tu od tego, by utrzymać spokój. Muszę spełniać mój obowiązek. Nie lubię przesady i przytem jestem zmęczony śmiertelnie, ale gdy się raz czegoś podejmę, nie zawaham się poświęcić dla ogólnego dobra życia jednego człowieka, zwłaszcza, jeśli to jest człowiek nieznany, o którego nikt się nie upomni. Tem gorzej dla niego, że nie jest Rzymianinem.

— Słońce nie tylko nad Rzymem świeci — szepnęła Antea.

— Boska Anteo! — odparł prokurator: — mógłbym ci odpowiedzieć, że na całym okręgu ziemi przyświeca ono rzymskiej władzy, zatem dla jej dobra wszystko należy poświęcić, a rozruchy podkopują naszą powagę. Ale przedewszystkiem błagam cię: nie żądaj ode mnie, bym zmienił wyrok. Cinna także ci powie, że

to nie może być, i że gdy wyrok raz wydany, chyba sam Cezar mógłby go zmienić. Ja, choćbym chciał — nie mogę. Nie prawda, Kaju?

— Tak jest.

Lecz Antei słowa te sprawiły widoczną przykrość, rzekła bowiem, myśląc może o sobie:

— Tak więc można cierpieć i umrzeć bez winy?

— Nikt nie jest bez winy — odpowiedział Pontius. — Ów Nazarejczyk nie popełnił żadnej zbrodni, więc też, jako prokurator, umyłem ręce. Ale jako człowiek, potępiam jego naukę. Rozmawiałem z nim umyślnie dość długo, chcąc go wybadać, i przekonałem się, że głosi rzeczy niesłychane. To trudno! Świat musi stać na rozsądku. Któż przeczy, że cnota jest potrzebną?... Pewnie, nie ja. Ale nawet stoicy uczą tylko, by przeciwności znosić z pogodą, nie wymagają zaś, by się wyrzec wszystkiego, począwszy od majątku aż do obiadu. Powiedz, Cinno — ty jesteś rozsądny człowiek — cobyś o mnie pomyślał, gdybym ten dom, w którym mieszkacie, oddał ni z tego ni z owego tym oto obdartusom, którzy tam wygrzewają się na słońcu przy Jopejskiej bramie? A on właśnie takich rzeczy wymaga. Głosi przytem, że wszystkich należy równo kochać: Żydów tak samo jak Rzymian, Rzymian jak Egipcyan, Egipcyan jak

Afrów i tak dalej. Przyznam się, że miałem tego dosyć. W chwili, gdy idzie o jego życie, zachowuje się, jakby szło o kogo innego, naucza — i modli się. Nie mam obowiązku ratować kogoś, co sam o to nie dba. Kto nie umie w niczem miary zachować, nie jest człowiekiem roztropnym. Przytem on zowie się Synem Bożym i burzy zasady, na których świat się wspiera, a zatem szkodzi ludziom. Niech sobie w duszy co chce myśli — byle nie burzył. Jako człowiek, protestuję przeciw jego nauce. Jeśli ja nie wierzę, dajmy na to, w bogi, to moja rzecz. Jednakże uznaję potrzebę religii i publicznie to głoszę, albowiem sądzę, że dla ludzi religia jest wędzidłem. Konie muszą być zaprzężone, i dobrze zaprzężone. Zresztą takiemu Nazarejczykowi śmierć nie powinna być straszna, twierdzi bowiem, że zmartwychwstanie.

Cinna i Antea spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Że zmartwychwstanie?

— Ni mniej, ni więcej: po trzech dniach. Tak przynajmniej głoszą jego uczniowie. Samego zapomniałem zapytać. Wreszcie to wszystko jedno, bo śmierć uwalnia od obietnic. A gdyby i nie zmartwychwstał, nic na tem nie straci, gdyż wedle jego nauki, prawdziwe szczęście, wraz z życiem wiecznem, zaczyna się dopiero po

śmierci. Mówi o tem istotnie, jak człowiek zupełnie pewny. W jego Hadesie widniej, niż w podsłonecznym świecie, a im kto więcej tu cierpi, tem pewniej tam wejdzie; powinien tylko kochać, kochać i kochać!

— Dziwna nauka — rzekła Antea.

— I tamci wołali na cię: «Ukrzyżuj!» — spytał Cinna.

— I nawet się nie dziwię. Duszą tego ludu jest nienawiść, któż zaś, jeśli nie nienawiść ma wołać o krzyż dla miłości?

Antea potarła czoło wychudłą ręką:

— I On jest pewien, że można żyć i być szczęśliwym — po śmierci?

— Dlatego nie straszy go krzyż, ni śmierć.

— Jakby to było dobrze, Cinno!...

Po chwili znów spytała:

— Skąd On wie o tem?

Prokurator machnął ręką:

— Powiada, że to wie od Ojca wszystkich ludzi, który dla Żydów jest tem, czem dla nas Jowisz, z tą różnicą, że według Nazarejczyka, jest On jeden, jedyny i miłosierny.

— Jakby to było dobrze, Kaju! — powtórzyła chora.

Cinna otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale umilkł — i rozmowa ustała. Pontius rozmyślał widocznie w dalszym ciągu nad

dziwaczną nauką Nazarejczyka, albowiem kręcił głową i wzruszał co chwila ramionami. Wreszcie wstał i począł się żegnać.

Nagle Antea rzekła:

— Kaju, pójdźmy zobaczyć tego Nazarejczyka.

— Śpieszcie się — rzekł odchodząc Pilat: — pochód wkrótce wyruszy.

VII.

Dzień, od rana znojny i pogodny, począł się około południa zachmurzać. Od północo-wschodu napływały obłoki ciemne lub miedziane, niezbyt rozległe, ale zawalne, jakby brzemienne burzą. Między nimi widać było jeszcze głęboki błękit, ale łatwo było przewidzieć, że wkrótce zbiegną się i przesłonią cały niebieski widnokrąg. Tymczasem słońce obrzucało ich zręby ogniem i złotem. Nad samem miastem i przyległemi wzgórzami rozciągał się jeszcze szeroki szmat pogodnego nieba, i na dole nie było żadnego wiatru.

Na wysokiej płaszczyźnie, zwanej Golgotą, stały już tu i owdzie małe gromadki ludzi, które uprzedziły pochód, mający wyruszyć z miasta. Słońce rozświecało szerokie kamienne przestrze-

nie, puste, jałowe i smutne. Jednostajną perłową ich barwę przerywała tylko czarna sieć rozpadlin i załamań, tem czarniejsza, im bardziej sama płaszczyzna była zalana światłem. W dali widać było wynioślejsze wzgórza, równie puste, przysłonione błękitną mgłą oddalenia.

Niżej, między murami miasta a płaskowzgórzem Golgoty, leżała równina, spiętrzona gdzieniegdzie skałami, mniej pusta. Tam ze szczelin, w których zebrało się nieco urodzajnej ziemi, wyglądały figi o liściu rzadkim i ubogim. Tu i owdzie wznosiły się budowle o płaskich dachach, poprzylepiane nakształt gniazd jaskółczych do kamiennych ścian, lub świecące zdala w słońcu biało malowane groby. Obecnie, z powodu bliskich świąt i napływu mieszkańców prowincyi do miasta, powznoszono bliżej murów mnóstwo szałasów i namiotów, które tworzyły całe obozowiska, pełne ludzi i wielbłądów.

Słońce wznosiło się coraz wyżej na niepokrytej dotąd chmurami przestrzeni nieba. Zbliżały się godziny, w których zazwyczaj panowało na tych wyżynach głuche milczenie, wszelkie bowiem żywe istoty szukały obrony w murach lub rozpadlinach. A nawet i obecnie, mimo niezwyklego ożywienia, tkwił jakiś smutek w tej okolicy, w której olśniewający blask padał nie na zieleń, ale na szare rozłogi kamienne. Gwar

dalekich głosów, dochodzący od strony murów, zmieniał się jakby w szmer fali i zdawał się być pochłanianym przez ciszę.

Pojedyńcze gromadki ludzi, wyczekujące od rana na Golgocie, zwracały głowy ku miastu, skąd pochód miał lada chwila wyruszyć. Lektyka z Anteą nadeszła, poprzedzana przez kilku żołnierzy, dodanych przez prokuratora, którzy mieli torować drogę wśród ścisku, a w danym razie powstrzymać nienawidzące cudzoziemców i fanatyczne tłumy od zniewag. Obok lektyki postępował Cinna w towarzystwie setnika Rufila.

Antea była jakby spokojniejsza i mniej przerażona tem, że zbliżało się południe, a zarazem groźba strasznych widzeń, które wysysały z niej życie. To, co prokurator mówił o młodym Nazarejczyku, porwało jej umysł i odwróciło uwagę od własnej nędzy. Było bowiem dla niej w tem coś dziwnego, czego prawie nie umiała zrozumieć. Świat ówczesny widział wielu ludzi, którzy umierali tak spokojnie, jak gaśnie stos pogrzebowy, w którym drwa się wypalą. Ale był to spokój, płynący z odwagi lub z filozoficznej zgody na nieubłaganą konieczność, zamiany światła na ciemność, rzeczywistego życia na jakiś byt mglisty, nikły i nieokreślony. Nikt nie błogosławił dotąd śmierci, nikt nie umierał z niezachwianą pewnością, że dopiero poza sto-

sem lub grobem zaczyna się prawdziwe istnienie i szczęście tak potężne i nieskończone, jakie tylko istota wszechmocna i nieskończona dać może.

Ów zaś, którego miano ukrzyżować, głosił to, jako niewątpliwą prawdę. Anteę nietylko uderzyła ta nauka, ale wydała się jej jedynem źródłem otuchy i nadziei. Wiedziała, że musi umrzeć, i zdejmował ją żal niezmierny. Czemże bowiem była dla niej śmierć? Oto porzuceniem Cinny, porzuceniem ojca, porzuceniem świata, kochania, pustką, zimnem, nawpół nicością, mrokiem. Więc im lepiej mogło być jej w życiu, tem jej żal musiał być większy. Gdyby śmierć mogła się na coś przydać, albo gdyby można wziąć z sobą choć wspomnienie z miłości, choć pamięć szczęścia — prędzejby zdobyła się na rezygnacyę.

Wtem, nie spodziewając się od śmierci niczego, usłyszała nagle, że ona może jej dać wszystko. I kto to głosił? Jakiś dziwny człowiek, nauczyciel, prorok, filozof, który nakazywał ludziom miłość, jako najwyższą cnotę, który błogosławił im w chwili chłosty i którego miano ukrzyżować. Więc Antea myślała: «Dlaczego tak nauczał, skoro krzyż Mu jedyną zapłatą? Inni pragnęli władzy — On jej nie chciał, inni mienia — On pozostał ubogim; inni pałaców,

uczt, zbytków, purpurowej odzieży, wykładanych perłowcem i kością słoniową wozów — On żył, jak pasterz. Przytem zalecał miłość, litość, ubóstwo, nie mógł więc być złym i łudzić umyślnie ludzi. Jeżeli zaś mówił prawdę, w takim razie niech będzie błogosławiona śmierć, jako koniec ziemskiej nędzy, jako zmiana gorszego szczęścia na lepsze, jako światło dla gasnących oczu i jako skrzydła, któremi się odlatuje w wieczystą radość!» Teraz Antea zrozumiała, co znaczyła zapowiedź zmartwychpowstania.

Umysł i serce biednej chorej przylgnęły całą siłą do tej nauki. Przypomniała sobie też słowa ojca, który niejednokrotnie powtarzał, że tylko jakaś nowa prawda może wydobyć umęczoną duszę ludzką z pomroki i więzów. A oto była nowa prawda! Zwyciężyła ona śmierć, więc niosła zbawienie. Antea utonęła tak całą swą istotą w tych myślach, że od wielu i wielu dni Cinna po raz pierwszy nie dostrzegł w tej twarzy trwogi przed nadchodzącą południową godziną.

Pochód ruszył wreszcie z miasta ku Golgocie — i z wyżyny, na której stała Antea, widać go było doskonale. Tłum był znaczny, ale jednak zdawał się ginąć na tych obszarach kamiennych. Z otwartej bramy miasta wysypy-

wało się coraz więcej ludzi, a po drodze przyłączali się do nich ci, którzy oczekiwali za murami. Szli początkowo długim korowodem, który rozlewał się, jak wezbrana rzeka, w miarę, jak postępowali naprzód. Po bokach uganiały się roje dzieci. Pochód mienił się i pstrzył od białych opończy, od szkarłatnych i błękitnych chust kobiecych. W środku połyskiwały zbroje i dzidy żołnierzy rzymskich, na które blask słoneczny rzucał jakby latające promienie. Wrzawa zmieszanych głosów dochodziła zdaleka i stawała się coraz wyraźniejszą.

Nakoniec zbliżyli się zupełnie — i pierwsze szeregi poczęły występować na wzniesienie. Tłum śpieszył się, by zająć najbliższe miejsca i widzieć jak najdokładniej mękę, skutkiem czego oddział żołnierzy, prowadzący skazanych, pozostawał coraz bardziej z tyłu pochodu. Pierwsze przybyły dzieci, przeważnie chłopcy, pół nadzy, poprzewiązywani szmatami w biodrach, z wystrzyżonemi głowami, prócz dwóch pęków włosów przy skroniach, — smagli, o źrenicach prawie błękitnych i wrzaskliwej mowie. Wśród dzikiej wrzawy poczęli oni wydrapywać ze szczelin zwietrzałe okruchy skalne, któremi chcieli rzucać na ukrzyżowanych. Tuż po nich wzniesienie zaroiło się od różnorakiej tłuszczy.

Twarze były po największej części rozpalone ruchem i nadzieją widowiska. Na żadnej nie było śladu litości. Krzykliwość głosów, niezmierna ilość słów wyrzucanych przez każde usta, nagłość ruchów dziwiła Anteę, jakkolwiek przywykłą w Aleksandryi do gadatliwej żywości greckiej. Ludzie rozmawiali tu z sobą, jakby się chcieli na siebie rzucić; nawoływali się, jakby szło o ich ratunek, spierali się, jakby ich odzierano ze skóry.

Centuryon Rufilus, zbliżywszy się do lektyki, dawał wyjaśnienia głosem spokojnym, służbowym, a tymczasem z miasta napływały coraz nowe fale. Ścisk powiększał się z każdą chwilą. W tłumie widać było zamożnych mieszkańców Jerozolimy, przybranych w pasiaste opończe, trzymających się zdala od nędznej hołoty z przedmieść. Napłynęli licznie i wieśniacy, których święta sprowadziły wraz z rodzinami do miasta; rolnicy, poprzepasywani workami, i pasterze, o twarzach dobrotliwych i zdziwionych, przybrani w skóry kozie. Tłumy kobiet ciągnęły razem z mężczyznami, ale że możniejsze mieszczanki nierade wychodziły z domów, były to przeważnie kobiety z ludu, wieśniaczki, lub przybrane jaskrawo ulicznice, o farbowanych włosach, brwiach i paznogciach, pachnące zdaleka nar-

dem, z olbrzymiemi zausznicami i w naszyjnikach z monet.

Nadciągnął wreszcie i Sanhedryn — a wśród niego Hanaan, starzec z twarzą sępa i z oczyma w krwawych obwódkach, oraz ociężały Kajafa, przybrany w dwurożną czapkę, z pozłocistą tablicą na piersiach. Razem z nimi szli różni faryzeusze, jak oto: *wlokący nogi*, którzy umyślnie potrącali stopami o wszystkie przeszkody, faryzeusze o *krwawych czołach*, również umyślnie rozbijający je o mury, i faryzeusze *zgarbieni*, niby gotowi do przyjęcia ciężaru grzechów całego miasta na swe ramiona. Posępna powaga i zimna zaciekłość różniła ich od zgiełkliwej zgrai pospolitego ludu.

Cinna przyglądał się tej ciżbie ludzkiej z chłodną i pogardliwą twarzą człowieka, należącego do rasy panującej, Antea — ze zdziwieniem i obawą. Wielu Żydów zamieszkiwało Aleksandryę, ale tam byli oni nawpół Hellenami, tu zaś po raz pierwszy widziała ich takimi, jakimi przedstawiał ich prokurator i jakimi byli w swem własnem gnieździe. Jej młoda twarz, na której śmierć wycisnęła już swe piętno, jej do cienia podobna postać, zwracały powszechną uwagę. Przypatrywano jej się natrętnie, o ile pozwalali na to otaczający lektykę żołnierze; tak wielką była jednak tu pogarda

i nienawiść dla obcych, że w żadnych oczach nie było widać współczucia, raczej połyskiwała w nich radość, że ofiara nie ujdzie śmierci. Antea teraz dopiero zrozumiała dokładnie, dlaczego ci ludzie wołali o krzyż dla proroka, który opowiadał miłość.

I ów Nazarejczyk wydał jej się nagle kimś tak blizkim, że niemal drogim. On musiał umrzeć — i ona również. Jego, po wydanym wyroku, już nic nie mogło ocalić — i na nią wyrok zapadł — więc zdawało się Antei, że ich połączyło braterstwo niedoli i śmierci. Tylko On szedł na krzyż z wiarą w pośmiertne jutro, ona tej wiary dotąd nie miała i przyszła jej zaczerpnąć w Jego widoku.

Tymczasem zdala rozległa się wrzawa, świst, wycie, poczem wszystko ucichło. Dał się słyszeć chrzęst zbroi i ciężki krok legionistów. Tłumy zakołysały się, rozstąpiły, i oddział prowadzący skazanych, począł przesuwać się koło lektyki. Z przodu, po bokach i z tyłu szli równym powolnym krokiem żołnierze, w środku widać było trzy przecznice krzyżów, które zdawały się same postępować, nieśli je bowiem ludzie zgarbieni pod ciężarem. Łatwo było odgadnąć, że między tymi trzema niema Nazarejczyka, dwaj bowiem mieli bezczelne twarze opryszków, trzecim był niemłody prosty wieśniak, którego wi-

docznie żołnierze zmusili do zastępstwa. Nazarejczyk szedł za krzyżami, mając blizko za sobą dwóch żołnierzy. Szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi. Jedne ściekały mu zwolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną, w kształt jagód dzikiej róży, lub koralowych paciorków. Blady był, posuwał się zwolna chwiejnym, osłabionym krokiem. Szedł wśród urągowiska ciżby, jakby w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na okrzyki nienawiści, lub jakby nad miarę ludzkich przebaczań przebaczający i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie złoto wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

— Prawdą jesteś — wyszeptała drżącemi ustami Antea.

Orszak przesuwał się teraz tuż koło lektyki. Była nawet chwila, że się zatrzymał, podczas gdy idący na przedzie żołnierze oczyszczali z ciżby drogę. Antea widziała teraz Nazarejczyka o kilka kroków, widziała, jak powiew poruszał zwoje Jego włosów widziała czerwonawy odblask, padający od płaszcza Jego na wybladłą i przezroczystą twarz. Tłuszcza, rwąc

się ku Niemu, otoczyła teraz ciasnem półkolem żołnierzy, tak, że musieli uczynić z włóczni zaporę, by Go bronić przed jej wściekłością. Wszędy widać było wyciągnięte ramiona z zaciśniętemi pięściami, oczy wychodzące z powiek, połyskujące zęby, brody rozchwiane od wściekłych ruchów i usta w pianie, wyrzucające chrapliwe okrzyki. On zaś, spojrzawszy naokół, jakby się chciał spytać: «Com wam uczynił?» — podniósł następnie oczy ku niebu i modlił się — i przebaczał.

— Anteo! Anteo! — zawołał w tej chwili Cinna.

Lecz Antea zdawała się nie słyszeć tego wołania. Z oczu płynęły jej wielkie łzy, zapomniała o chorobie, zapomniała, że już od wielu dni nie podnosiła się z lektyki, i powstawszy nagle, drżąca, nawpół przytomna z żalu, litości i z oburzenia na ślepe okrzyki ciżby, poczęła chwytać hiacynty i kwiat jabłoni i rzucać pod stopy Nazarejczyka.

Na chwilę uczyniło się cicho. Tłum ogarnęło podziwienie na widok tej dostojnej Rzymianki, oddającej cześć Skazanemu. On zwrócił oczy na jej biedną chorą twarz, i usta jego poczęły się poruszać, jakby ją błogosławił. Antea, opadłszy znów na poduszki lektyki, czuła, że spływa

na nią morze światła, dobroci, miłosierdzia, otuchy, nadziei, szczęścia, i wyszeptała znowu:

— Tyś jest Prawdą.

Potem nowa fala łez napłynęła jej do oczu.

Lecz Jego popchnięto naprzód, na odległe o kilkadziesiąt kroków od lektyki miejsce, na którem stały już wbite w rozpadliny skał słupy krzyżów. Tłum przesłonił go znowu, lecz że miejsce owo było znacznie wyniesione, Antea ujrzała znów niebawem Jego bladą twarz i cierniową koronę. Legioniści zwrócili się raz jeszcze ku tłuszczy i odegnali ją kijami dość daleko, by nie przeszkadzała egzekucyi. Poczęto teraz przywiązywać dwóch opryszków do bocznych krzyżów. Trzeci krzyż stał w pośrodku z białą kartą, przybitą ćwiekiem na wierzchołku, którą podnosił i szarpał wzmagający się coraz wiatr. Gdy żołnierze, zbliżywszy się wreszcie do Nazarejczyka, jęli Go rozbierać z odzieży, w tłumie zagrzmiały okrzyki: «Król, król! nie daj się, królu! gdzie Twoje zastępy? broń się!» Chwilami wybuchał śmiech, który porywał tłuszczę, tak, że nagle cała kamienna wyżyna rozbrzmiewała jednym chychotem. Jego tymczasem rozciągnięto nawznak na ziemi, aby Mu ręce przybić do przecznicy krzyża, potem zaś podciągnąć Go, wraz z nią, na słup główny.

Wtem jakiś człowiek, stojący niedaleko lek-

tyki i przybrany w białą simarę, rzucił się nagle na ziemię, zgarnął na głowę pył i okruchy kamienne i począł krzyczeć okropnym, pełnym rozpaczy głosem:

— Byłem trędowaty — uzdrowił mnie — przecz Go krzyżują!?

Antei twarz zbielała jak chusta.

— On go uzdrowił... słyszysz, Kaju? — rzekła.

— Czy chcesz wrócić? — spytał Cinna.

— Nie! Tu zostanę!

A Cinnę ogarnęła, jak wicher, dzika i bezbrzeżna rozpacz, że nie wezwał Nazarejczyka do swego domu, by mu uzdrowił Anteę.

Ale w tej chwili, żołnierze przyłożywszy ćwieki do Jego rąk, poczęli w nie uderzać. Dał się słyszeć tępy szczęk żelaza o żelazo, który wnet zmienił się w donioślej brzmiący rozgłos, gdy ostrza gwoździ, przeszedłszy przez ciało, zagłębiły się w drzewo. Tłumy uciszyły się znów, prawdopodobnie dlatego, by napawać się krzykami, jakie męczarnia mogła wydrzeć z ust Nazarejczyka. Ale On pozostał cichy, i na wyżynie rozlegały się tylko złowrogie i straszne uderzenia młotów.

Wreszcie skończono robotę i przecznicę wraz z ciałem podciągnięto ku górze. Pilnujący roboty setnik wymawiał, a raczej śpiewał jedno-

stajnym głosem słowa komendy, wedle której jeden z żołnierzy począł następnie przygważdżać nogi.

Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrąg, przysłoniły słońce. Odległe wzgórza i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchł. Złowrogi, miedziany mrok ogarnął okolicę, i w miarę, jak słońce zasuwało się głębiej za zwały chmur, gęstniał coraz bardziej. Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwonawą ciemność. Gorący wiatr uderzył raz i drugi, potem ścichł. Powietrze stało się parne.

Nagle i owe resztki rudawych blasków zczerniały. Posępne, jak noc, chmury poczęły się przewracać i posuwać nakształt olbrzymiego wału ku wyżynie i miastu. Szła burza. Świat napełnił się niepokojem.

— Wracajmy! — rzekł znów Cinna.

— Jeszcze, jeszcze chcę Go widzieć! — odpowiedziała Antea.

Ponieważ mrok przesłonił wiszące ciała, Cinna kazał zanieść lektykę bliżej do miejsca męki. Przysunęli się tak blizko, że zaledwie kilka kroków dzieliło ich od krzyża. Na ciemnem drzewie widać było ciało Ukrzyżowanego, które w tem powszechnem zaćmieniu wydawało się jakby ze srebrnych promieni księżyca utkane.

Pierś Jego podnosiła się szybkim oddechem. Głowę i oczy trzymał jeszcze zwrócone ku górze.

Wtem w głębiach chmur ozwał się głuchy pomruk. Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył się ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, w końcu huknął, jak grom, aż ziemia zatrzęsła się w posadach.

Jednocześnie olbrzymia sina błyskawica rozdarła chmury, rozświeciła niebo, ziemię, krzyże, zbroje żołnierzy i zbitą, jak stado owiec, tłuszczę niespokojną i trwożną.

Po błyskawicy zapadła jeszcze grubsza ciemność. W pobliżu lektyki ozwały się łkania jakichś kobiet, które również zbliżyły się do krzyża. Było coś przerażającego w tem łkaniu wśród ciszy. Ci, którzy pogubili się w tłumie, poczęli się teraz nawoływać. Tu i owdzie ozwały się przerażone głosy:

— Ojah! oj lanu! zali nie Sprawiedliwego ukrzyżowano!?

— Który dawał świadectwo prawdzie! Ojah!

— Który wskrzeszał zmarłe! Ojah!

A inny głos zawołał:

— Biada ci, Jeruzalem!

Inny znów:

— Ziemia zadrżała!

Druga błyskawica odkryła głębie nieba i ukazała w nich jakby olbrzymie ogniste postaci. Głosy ucichły, a raczej zginęły w poświstach wichru, który zerwał się nagle z olbrzymią siłą, zdarł mnóstwo chust, opończy i począł rzucać niemi po wyżynie.

Głosy poczęły znów wołać:

— Ziemia zadrżała!

Niektórzy jęli uciekać. Innych trwoga przykuła do miejsca — i ci stali w osłupieniu, bez myśli, z tem mętnem wrażeniem tylko, że stało się coś straszliwego.

Ale mrok począł nagle rudnąć. Wicher przewracał chmury, skręcał je i szarpał, jak zetlałe szmaty. Jasność wzrastała stopniowo, nakoniec ciemny strop rozdarł się i przez szczelinę lunął nagle potok słonecznego światła: wnet rozwidniła się wyżyna, zalęknione twarze ludzkie i krzyże.

Głowa Nazarejczyka opadła nizko na piersi, blada jakby woskowa; powieki miał zamknięte i zsiniałe usta.

— Umarł — szepnęła Antea.

— Umarł — powtórzył Cinna.

W tej chwili centuryon sięgnął włócznią do boku zmarłego. Dziwna rzecz: powrót światła i widok tej śmierci zdawał się uspokajać tłumy.

Przysuwały się one teraz coraz bliżej, zwłaszcza, że żołnierze nie bronili już przystępu. Wśród czerni ozwały się głosy:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

Antea raz jeszcze rzuciła oczyma na tę bladą, zwieszoną głowę, poczem ozwała się cicho, jakby sama do siebie:

— Zali zmartwychwstanie?...

Wobec śmierci, kładnącej błękitne piętna na Jego oczy i usta, wobec tych wyciągniętych nad miarę ramion, wobec tego nieruchomego ciała, które już osunęło się ku dołowi ciężarem rzeczy martwych, głos jej drgał rozpaczliwem zwątpieniem.

Niemniejsze zmartwienie targało i duszą Cinny. On również nie wierzył, że Nazarejczyk zmartwychwstanie, ale wierzył, że gdyby żył, On jeden mógłby złą lub dobrą swą mocą uzdrowić Anteę.

A tymczasem coraz liczniejsze głosy wołały naokół:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

— Zejdź! — powtórzył z rozpaczą w duchu Cinna: — uzdrów mi ją, zabierz duszę moją!

Wypogadzało się coraz bardziej. Wzgórza były jeszcze we mgle, ale nad wyżyną i miastem niebo oczyściło się zupełnie. «Turris Antonia» błyszczała w słońcu, jaśniejąc sama na-

kształt słońca. Powietrze uczyniło się świeże i rojne od jaskółek. Cinna dał rozkaz odwrotu.

Godzina była popołudniowa. W pobliżu domu Antea rzekła nagle:

— Hekate nie przyszła dziś.

Cinna także myślał o tem.

VIII.

Widmo nie ukazało się i nazajutrz... Chora była ożywiona niezwykle, albowiem przyjechał z Cezarei Tymon, który niespokojny o życie córki i przerażony listami Cinny, porzucił przed kilku dniami Aleksandryę, aby raz jeszcze zobaczyć przed śmiercią jedyne dziecko. Do serca Cinny poczęła znów kołatać nadzieja, jakby upominając się, by ją wpuścił. Lecz on nie śmiał odemknąć drzwi temu gościowi, nie śmiał się spodziewać. W widzeniach, które zabijały Anteę, bywały już przecie przerwy, wprawdzie nigdy dwudniowe, ale jednodniowe zdarzały się i w Aleksandryi, i na pustyni. Folgę obecną przypisywał Cinna przybyciu Tymona i wrażeniom z pod krzyża, które tak napełniły duszę chorej, że nawet z ojcem nie mogła o czem innem rozmawiać. Tymon słuchał też w skupieniu, nie przeczył, rozważał — i tylko wypyty-

wał starannie o naukę Nazarejczyka, o której Antea wiedziała zresztą tylko to, co jej powtórzył prokurator.

Czuła się jednak wogóle zdrowsza i nieco silniejsza, a gdy południe przeszło i minęło, w oczach jej zabłysła prawdziwa otucha. Kilkakrotnie nazwała ów dzień pomyślnym i prosiła męża, by go zapisał.

Dzień zaś był naprawdę smutny i posępny. Deszcz padał od rana, z początku bardzo obfity, potem drobny, siekący, z nizkich, jednostajnie rozciągniętych chmur. Dopiero wieczorem niebo przetarło się, i wielka ognista kula słoneczna wyjrzała z mgieł, umalowała purpurą i złotem chmury, szare opoki, biały marmur portyków willi i stoczyła się wśród niezmiernych blasków w stronę Śródziemnego morza.

Natomiast nazajutrz pogoda uczyniła się cudna. Dzień zapowiadał się znojny, ale ranek był świeży, niebo bez plamki, a ziemia tak zanurzona w błękitnej kąpieli, że wszystkie przedmioty wydawały się błękitne. Antea kazała się wynieść pod ulubioną pistacyę, aby z wyniosłości, na której stało drzewo, napawać się widokiem wesołej i modrej oddali. Cinna i Tymon nie odstępowali ani krokiem od lektyki, badając pilnie twarz chorej. Był w niej jakiś niepokój oczekiwania, ale nie było tego śmiertelnego prze-

rażenia, jakie ogarniało ją poprzednio przed nadejściem południa. Oczy jej rzucały blask żywszy, a policzki zakwitły słabym rumieńcem. Cinna naprawdę myślał teraz chwilami, że Antea może być uzdrowiona, i na tę myśl chciało mu się rzucić na ziemię, szlochać z radości i błogosławić bogów — to znów ogarniała go trwoga, że to jest może ostatni błysk gasnącej lampy. Chcąc zaczerpnąć skądkolwiek nadziei, spoglądał kiedy niekiedy na Tymona, lecz i temu podobne myśli musiały przechodzić przez głowę, gdyż unikał jego wzroku. Żadne z trojga nie wspomniało słowem, że południe się zbliża. Natomiast Cinna, rzucając co chwila oczyma na cienie, uważał z bijącem sercem, że stają się one coraz krótsze.

I siedzieli, jakby pogrążeni w zadumie. Może najmniej niespokojna była sama Antea. Leżąc w otwartej lektyce, z głową wspartą na purpurowej poduszce, oddychała z lubością czystem powietrzem, które powiew przynosił z zachodu, od dalekiego morza. Ale przed południem i ów powiew ustał. Upał stawał się większy; przygrzane słońcem czabry skał i krzaki nardu poczęły ronić woń mocną i upajającą. Nad kępkami anemonów kołysały się jasne motyle. Ze szpar skalnych małe jaszczurki, które już przywykły do tej lektyki i do tych ludzi, wysuwały

się, jak zwykle, jedna za drugą, ufne i zarazem na każdy ruch ostrożne. Świat cały koił się w świetlistej ciszy, w cieple, w pogodnej słodyczy i w błękitnem uśpieniu.

Tymon i Cinna zdawali się również zatapiać w tym słonecznym spokoju. Chora przymknęła oczy, jakby ją ogarniał lekki sen — i milczenia nic przerywało nic, prócz westchnień, które kiedy niekiedy podnosiły jej pierś.

A tymczasem Cinna zauważył, że cień jego stracił wydłużony kształt i leży mu tuż pod nogami.

Było południe.

Nagle Antea otworzyła oczy i ozwała się jakimś dziwnym głosem:

— Cinno, daj mi rękę.

On zerwał się, i wszystka krew ścięła mu się lodem w sercu: oto przychodziła godzina strasznych widzeń.

A jej oczy otwierały się coraz szerzej.

— Czy widzisz, — mówiła — jak tam światło zbiera się i związuje w powietrzu, jak drga, błyszczy i zbliża się ku mnie?

— Anteo! nie patrz tam! — krzyknął Cinna.

Lecz o dziwo! na jej obliczu nie było przerażenia. Rozchyliły się usta, oczy patrzały coraz szerzej — i jakaś niezmierna radość poczęła rozjaśniać jej twarz.

— Słup światła zbliża się ku mnie — mówiła dalej. — Widzę! To On, to Nazarejczyk!... Uśmiecha się... O słodki!... o miłościwy!... Ręce przebite wyciąga, jak matka, ku mnie. Cinno! On niesie mi zdrowie, zbawienie i wzywa mnie do siebie.

A Cinna pobladł bardzo i rzekł:

— Gdziekolwiek nas wzywa — pójdźmy za Nim!

W chwilę później, z drugiej strony, na kamiennej ścieżce, prowadzącej do miasta, zjawił się Pontius Pilatus. Nim się zbliżył, widać było z jego twarzy, że niesie jakąś nowinę, którą, jako rozsądny człowiek, uważa za nowy dziwaczny wymysł łatwowiernych i ciemnych tłumów. Jakoż z daleka jeszcze począł wołać, ocierając pot z czoła:

— Wyobraźcie sobie, co ci znów rozpowiadają: że zmartwychwstał!

LUX IN TENEBRIS LUCET

Przychodzą czasem jesienią, zwłaszcza w listopadzie, dni tak wilgotne, ciemne i posępne, że nawet zdrowemu człowiekowi życie się przykrzy. Od czasu, jak Kamionka uczuł się niezdrów i przestał pracować nad posągiem »Miłosierdzia«, niepogoda taka dokuczała mu więcej od samej choroby. Co rano, zwlókłszy się z łóżka, przecierał spotniałe wielkie okno pracowni i spoglądał do góry, w nadziei, że zobaczy choć skrawek błękitnego nieba; ale co rano czekał go zawód. Ciężka ołowiana mgła wisiała nad ziemią; deszcz nie padał, a mimo tego nawet brukowe kamienie na podwórzu wyglądały jak gąbki nasiąkłe wodą; wszystko było mokre, oślizgłe, przejęte nawskroś wilgocią, której pojedyńcze krople, spadając z zagięcia rynien, dzwoniły z jakąś rozpaczliwą jednostajnością, jakby odmierzając ów wlokący się leniwie czas smutku.

Okno pracowni wychodziło na podwórze, zakończone z tyłu ogrodem. Trawa za sztache-

tami zieleniła się jeszcze jakąś chorą zielonością, w której tkwiła śmierć i zgnilizna; ale drzewa z resztkami żółtych liści, o gałęziach czarnych od wilgoci, a zarazem nieco zatartych przez mgłę, wydawały się już zupełnie obumarłe. Co wieczór rozlegało się między niemi krakanie wron, które z lasów i pól ściągały już na zimowe leże do miasta i z wielkiem łopotaniem skrzydeł sadowiły się na nocleg wśród konarów.

Pracownia w podobne dni stawała się tak ponura, jak kostnica. Marmur i gips potrzebują błękitu, w takiem zaś ołowianem oświetleniu, białość ich miała w sobie coś żałobnego; postacie z ciemnej terrakoty, tracąc wszelką wyrazistość linii, zmieniały się w jakieś kształty nieokreślone i prawie straszne.

Brud i nieład dodawały smutku pracowni. Na podłodze leżał grubą warstwą kurz, utworzony z rozdeptanych okruchów zeschłej terrakoty i z błota naniesionego z ulicy. Ściany były mroczne, przybrane tylko tu i owdzie gipsowymi modelami rąk i nóg; zresztą puste; niedaleko od okna wisiało małe lustro, nad niem czaszka końska i bukiet makartowskich kwiatów, zupełnie poczerniały od kurzu.

W kącie stało łóżko, pokryte kołdrą starą i pomiętą, przy niem szafka nocna z żelaznym lichtarzem. Kamionka przez oszczędność nie

trzymał osobnego mieszkania i sypiał w pracowni. Zwyczajnie łóżko zasłonione było parawanem, ale teraz parawan był odstawiony w tym celu, by choremu łatwiej było spoglądać w okno leżące wprost jego nóg, i patrzeć, czy się nie wypogadza. Drugie, jeszcze większe okno, wycięte w pułapie pracowni, było tak pokryte zewnątrz kurzem, że nawet w jasne dni wchodziło przez nie światło szare i smutne.

Nie wypogadzało się jednak. Po kilku dniach ciemności, chmury zniżyły się zupełnie, powietrze nasiąknęło do reszty wilgotną, ciężką mgłą, i uczyniło się jeszcze ciemniej. Kamionka, który dotychczas pokładał się tylko na łóżku w ubraniu, uczuł się gorzej, więc rozebrał się i położył na dobre.

Właściwie mówiąc, nie był on tyle chory na jakąś określoną chorobę, ile przygnębiony, zniechęcony, wyczerpany i smutny. Ogólne osłabienie ścięło go z nóg. Nie miał ochoty umrzeć, ale też nie czuł w sobie sił do życia.

Długie godziny mrocznego dnia wydawały mu się tem dłuższe, że nie miał przy sobie nikogo. Żona jego umarła przed laty dwudziestu, krewni mieszkali w innej części kraju, a z kolegami nie żył. W ostatnich latach znajomi poodsuwali się od niego, z powodu coraz wzrastającej w nim zgryźliwości. Z początku to jego

usposobienie bawiło ludzi, ale następnie, gdy stawał się coraz większym dziwakiem, i gdy każdy żart począł w nim budzić długotrwałą urazę, nawet najbliżsi pozrywali z nim stosunki.

Brano mu także za złe, że z wiekiem stał się pobożnym, i podejrzewano jego szczerość. Złośliwi mówili, że przesiaduje po kościołach dlatego, by przez stosunki z księżmi wyrobić sobie zamówienia do kościołów. Nie była to zresztą prawda. Pobożność jego nie płynęła może z głębokiej i spokojnej wiary, ale była bezinteresowna.

Co jednak dawało pozory słuszności posądzeniom, to wzmagające się coraz bardziej w Kamionce skąpstwo. Od kilku lat zamieszkał przez oszczędność w pracowni; żywił się Bóg wie czem i zrujnował sobie zdrowie do tego stopnia, że w końcu twarz jego stała się tak przezroczysta i żółta, jakby była ulepiona z wosku. Ludzi unikał także i dlatego, by czasem nie zażądał kto od niego jakiejkolwiek przysługi.

Wogóle był to człowiek z charakterem zwichniętym, zgorzkniały i nadzwyczaj nieszczęśliwy. A jednak nie była to natura z gruntu pospolita, gdyż nawet wady jego miały właściwe sobie, artystyczne cechy. Ci, którzy sądzili, że przy swem skąpstwie musiał zebrać znaczny majątek, mylili się. Kamionka był naprawdę czło-

wiekiem ubogim, albowiem wszystko, co posiadał, wydawał na akwaforty, których miał całą tekę na dnie szafy, a które od czasu do czasu przeglądał i liczył z ostrożnościami i chciwością lichwiarza liczącego pieniądze. Z zamiłowaniem tem ukrywał się jak najstaranniej, może właśnie dlatego, że wyrosło na gruncie wielkiego nieszczęścia i wielkiego uczucia.

Raz, mniej więcej w rok po śmierci żony, zobaczył u antykwaryusza stary sztych, wyobrażający Armidę — i w twarzy Armidy dopatrzył się podobieństwa do twarzy swej zmarłej. Sztych ten nabył zaraz i od tej pory począł szukać miedziorytów, z początku, wystawiających tylko Armidy, następnie, w miarę jak zamiłowanie w nim wzrastało — i wszelkich innych.

Ludzie, którzy stracili istoty bardzo kochane, muszą zaczepić życie o byle co, inaczej nie mogliby istnieć. Co do Kamionki, niktby się nie domyślił, że ten podstarzały dziwak i egoista kochał niegdyś nad życie swoją żonę. Prawdopodobnie też, gdyby nie była umarła, życie jego popłynęłoby pogodniej, szerzej i bardziej po ludzku. Bądź co bądź, miłość ta przeżyła w Kamionce i jego szczęśliwe czasy i jego młodość i nawet jego talent.

Pobożność, która z biegiem lat zmieniła się

w nim na zwyczaj, polegający na zachowywaniu form zewnętrznych, wypłynęła również z tego samego źródła. Kamionka, nie należąc do ludzi głęboko wierzących, począł jednak po śmierci żony modlić się za nią, bo mu się zdawało, że to jest jedyna rzecz, którą może dla niej uczynić, i że w ten sposób jeszcze go jakaś nić z nią łączy.

Natury pozornie zimne umieją często kochać i nader mocno i trwale. Po śmierci żony, całkowite życie Kamionki i wszystkie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niej i czerpały z niego pokarm, zupełnie jak pasorzytna roślina czerpie pokarm z pnia, na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute soki, złożone z żalu i ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał.

Gdyby nie był artystą, prawdopodobnie nie przeżyłby swej straty, ale powołanie ocaliło go w ten sposób, że po śmierci żony, począł rzeźbić dla niej pomnik. Próżno żywym mówić, że dla umarłych wszystko jedno, w jakich grobach leżą. Kamionka chciał, by jego Zosi było tam pięknie — i pracował nad jej pomnikiem, tyle samo sercem, ile rękoma. To sprawiło, że przez pierwsze pół roku nie dostał pomieszania zmysłów i że zżył się z rozpaczą.

Człowiek pozostał zwichnięty i nieszczęśliwy, ale sztuka ocaliła artystę. Od tej pory Kamionka istniał przez nią. Ludzie, którzy po galeryach przypatrują się posągom i obrazom, nie domyślają się, że artysta może służyć sztuce uczciwie lub nieuczciwie. Pod tym względem Kamionka był bez zarzutu. Nie miał on skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent nieco wyższy nad średnią miarę, i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić — ale ją głęboko szanował i zawsze był względem niej szczery. Przez długie lata swego zawodu nie oszukał i nie ukrzywdził jej nigdy, ani dla sławy, ani dla pokupu, ani dla pochwał, ani dla przygan. Tworzył zawsze tak, jak czuł. Za swych szczęśliwych czasów, gdy żył jak każdy inny człowiek, umiał rozpowiadać o sztuce rzeczy zupełnie niepowszednie, a i potem, gdy już poczęto od niego stronić, rozmyślał nieraz o niej w swojej samotnej pracowni, w sposób uczciwy i wysoki.

Czuł się ogromnie opuszczony, ale nie było w tem nic dziwnego. Stosunki ludzkie muszą mieć jakąś średnią modłę, na mocy której ludzie wyjątkowo nieszczęśliwi bywają z życia wyłączani. I z tej samej przyczyny porastają tak dziwactwem i wadami, jak kamień wyrzucony z potoku porasta mchem, gdy przestanie

ocierać się o inne. Teraz, gdy Kamionka zachorował, żadna żywa dusza nie zajrzała do jego pracowni, z wyjątkiem posługaczki, która dwa razy dziennie przychodziła nastawić i podać mu herbatę. Za każdem przyjściem radziła mu, aby wezwał lekarza, lecz on, bojąc się wydatku, nie chciał się na to zgodzić.

Nakoniec zesłabł bardzo, może dlatego, że nic nie brał do ust prócz herbaty. Ale on do niczego nie miał już ochoty, ani do jedzenia, ani do pracy, ani do życia. Myśli jego były tak zwiędłe, jak owe liście, na które spoglądał przez okno, i odpowiadały zupełnie tej jesieni, tej słocie i tym ołowianym ciemnościom. Niema gorszych chwil na świecie nad takie, w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył, i że mu się już nic w życiu nie należy. Kamionka od lat blizko piętnastu żył w ciągłym wewnętrznym niepokoju, że jego talent wyczerpuje się. Obecnie był tego pewien i z goryczą myślał, że nawet i sztuka go opuszcza. Czuł przytem wyczerpanie i znużenie w każdej kości. Nie spodziewał się rychłej śmierci, ale nie wierzył w swój powrót do zdrowia. Wogóle nie było w nim ani jednej iskry nadziei.

Jeśli sobie jeszcze czegoś teraz życzył, to chyba tego, by się wypogodziło i by słońce za-

świeciło w pracowni. Sądził nawet, że w takim razie nabrałby może jakiejkolwiek otuchy. Zawsze był on szczególnie wrażliwy na słotę, ciemności, zawsze takie dni powiększały jego smutek i pognębienie, a cóż dopiero teraz, gdy ów czas, jak go Kamionka nazywał: beznadziejny, przyszedł w towarzystwie choroby!

Co rano też, gdy posługaczka przychodziła z herbatą, Kamionka pytał:

— A nie przeciera się tam gdzie po brzegach?

— Ale! — odpowiadała stróżka: — mgła taka, że człowiek człowieka nie widzi.

Chory, usłyszawszy odpowiedź, przymykał oczy i pozostawał długie godziny bez ruchu.

Na podwórzu było ciągle cicho, tylko krople deszczu dzwoniły równo i jednostajnie w rynnach.

O godzinie trzeciej po południu, robiło się już tak ciemno, że Kamionka musiał zapalać świecę. Z powodu osłabienia przychodziło mu to z niemałą trudnością. Naprzód, nim sięgnął po zapałki, namyślał się czas dłuższy; potem wyciągał leniwie ramiona, których chudość, widoczna przez rękawy koszuli, napełniała go jako rzeźbiarza wstrętem i goryczą; potem zapaliwszy światło, wypoczywał znów nieruchomie, aż do wieczornego przyjścia stróżki, słuchając z przy-

mkniętemi oczyma kropel dzwoniących w rynnach.

Dziwnie wówczas wyglądała pracownia. Płomień świecy oświetlał łóżko i leżącego w niem Kamionkę, zbierając się w błyszczący punkt na jego czole, obciągniętem skórą suchą i żółtą, jakby wypolerowaną. Reszta izby pogrążała się w mroku, który z każdą chwilą czynił się gęstszy. Ale w miarę jak na dworze ciemniało, posągi stawały się coraz różowsze i nabierały życia. Płomień świecy to zniżał się, to podnosił, a w tym drgającym blasku i one zdawały się to zniżać, to podnosić, zupełnie tak, jakby wspinały się na palce, chcąc lepiej spojrzeć w wychudłą twarz rzeźbiarza i przekonać się, czy ich twórca żyje jeszcze.

I rzeczywiście była w tej twarzy pewna nieruchomość śmierci. Ale kiedy niekiedy sinawe usta chorego poruszały się lekkim ruchem, jakby się modlił, albo jakby klął swoje opuszczenie i te utrapione krople wilgoci, które zawsze tak samo równo i jednostajnie odmierzały mu godziny choroby.

Pewnego wieczoru, stróżka, przyszedłszy nieco pijana, zatem rozmowniejsza niż zwykle, rzekła:

— Na mojej głowie tyle roboty, że ledwie dwa razy w dzień mogę zajrzeć. Wziąłby ot

sobie panisko zakonnicę, bo siostra i nic nie kosztuje i najlepiej choremu wygodzi.

Kamionce podobała się ta rada, ale jak zwykle ludzie zgryźliwi, miał zwyczaj sprzeciwiać się zawsze temu, co mu doradzano, więc się nie zgodził.

Jednakże po odejściu stróżki, począł o tem rozmyślać. Siostra miłosierdzia!... prawda! Nic nie kosztuje, a jaka przytem pomoc i wygoda! Kamionka, jak każdy chory, pozostawiony samemu sobie, doznawał mnóstwa przykrości i walczył z tysiącami małych nędz, które mu równie dokuczały, jak go niecierpliwiły. Nieraz leżał z głową przekrzywioną niewygodnie po całych godzinach, nim się zebrał na poprawienie sobie poduszki; nieraz w nocy robiło mu się zimno, i byłby dał Bóg wie co za szklankę gorącej herbaty; ale jeśli zapalenie świecy przychodziło mu z trudem, jakże mu było myśleć o zagotowaniu sobie wody? Siostra miłosierdzia czyniłaby to wszystko ze zwykłą siostrom łagodną skwapliwością. O ileż lżej chorować przy takiej pomocy!

Biedaczysko doszedł wreszcie do tego, że o chorobie w takich warunkach począł myśleć jak o czemś pożądanem i pomyślnem, i dziwił się w duszy, że nawet dla niego takie szczęście jest dostępne.

Zdawało mu się także, że gdyby siostra nadeszła i wniosła z sobą trochę wesołości i otuchy do pracowni, to może wypogodziłoby się także i na dworze, i te dzwoniące krople wilgoci przestałyby go prześladować.

Zdjął go w końcu żal, że odrazu nie zgodził się na radę stróżki. Zbliżała się noc długa i posępna, a stróżka miała do niego zajrzeć dopiero następnego rana. Teraz zrozumiał, że ta noc będzie dla niego cięższa, niż wszystkie poprzednie.

Potem przyszło mu do głowy, jaki jednak wielki z niego Łazarz — i w przeciwstawieniu do dzisiejszej nędzy, dawne, szczęśliwsze lata życia stanęły mu jakby żywe przed oczyma. A jak przed chwilą myśl o zakonnicy, tak teraz wspomnienie o owych latach połączyło się znów w ten sam dziwny sposób w jego osłabionym mózgu z pojęciem słońca, światła i pogody.

Począł rozmyślać o swojej zmarłej i rozmawiać z nią, jak to miał zwyczaj zawsze czynić, gdy mu było bardzo źle. W końcu zmęczył się, uczuł, że słabnie, i usnął.

Świeca, stojąca na szafce nocnej, dopalała się zwolna. Płomień jej z różowego stał się błękitny, potem błysnął mocno kilkakroć i zgasł. Ciemność zupełna objęła pracownię.

A tymczasem na dworze krople wilgoci spadały wciąż równo i tak posępnie, jakby przez nie dystylował się mrok i smutek całej natury.

Kamionka spał długo lekkim snem, lecz nagle zbudził się z jakiemś dziwnem wrażeniem, że coś niezwykłego dzieje się w pracowni. Na świecie był brzask. Marmury i gipsy poczęły się bielić. Szerokie, weneckie okno, leżące wprost łóżka, nasiąkało coraz bardziej bladem światłem.

W tem oświetleniu Kamionka ujrzał jakąś postać, siedzącą przy łóżku.

Otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w nią: była to siostra miłosierdzia.

Siedziała ona nieruchomie, zwrócona nieco ku oknu i z głową pochyloną. Ręce jej były złożone na kolanach — i zdawała się modlić. Chory nie mógł dojrzeć jej twarzy; widział natomiast wyraźnie biały jej kornet i ciemny zarys ramion, trochę wątłych.

Serce poczęło mu bić jakoś niespokojnie, a przez głowę przemknęły pytania:

— Kiedy stróżka mogła sprowadzić tę siostrę i jak ona tu weszła?

Następnie pomyślał, że może z osłabienia coś mu się wydaje, i przymknął oczy.

Lecz po chwili otworzył je znowu.

Siostra siedziała zawsze na tem samem miejscu, nieruchoma, jakby pogrążona w modlitwie.

Dziwne uczucie, złożone z przestrachu i z wielkiej radości, poczęło podnosić włosy na głowie chorego. Coś ciągnęło jego wzrok z niepojętą siłą ku tej postaci. Zdawało mu się, że ją już niegdyś widział, ale gdzie i kiedy? — nie pamiętał. Chwyciła go niepohamowana chęć zobaczenia jej twarzy, ale biały kornet zasłaniał ją, Kamionka zaś, sam nie wiedząc dlaczego, nie śmiał ani odezwać się, ani poruszyć, ani prawie odetchnąć. Czuł tylko, że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz silniej, i ze zdumieniem pytał sam siebie: co to jest?

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. I co za cudny poranek musiał tam być na dworze! Nagle bez żadnych przejść, weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w tej jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie — i Kamionka znalazł się jakby w jakiejś świetlanej przestrzeni bez granic.

Wtem spostrzegł, że i kornet na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

Zakonnica zwróciła zwolna twarz ku cho-

remu — i nagle ów opuszczony nędzarz ujrzał w świetlanej aureoli znajome, stokroć ukochane rysy swej zmarłej.

Wówczas zerwał się z łóżka, a z piersi jego wydarł się krzyk, w którym były całe lata łez, żalu, zmartwienia i rozpaczy:

— Zosia! Zosia!

I chwyciwszy ją, tulił do siebie, a ona również zarzuciła mu ręce na szyję.

Światło napływało coraz więcej.

— Nie zapomniałeś o mnie, — rzekła wreszcie — więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.

Kamionka wciąż trzymał ją w ramionach, jakby w obawie, że błogosławione widzenie zniknie mu razem z tem światłem.

— Jam gotów umrzeć, — odpowiedział — byleś została przy mnie.

Ona uśmiechnęła się do niego anielskim uśmiechem i, odejmując jedną rękę z jego szyi, wskazała nią na dół i rzekła:

— Tyś już umarł: patrz tam!

Kamionka spojrzał w kierunku jej ręki i hen, pod stopami, ujrzał przez okno w pułapie wnętrze swej pracowni mrocznej, samotnej; w niej na łóżku leżał jego własny trup z szeroko otwartemi ustami, które w wyżółkłej twarzy tworzyły jakby czarną jamę.

I patrzał na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą po chwili poczęło mu wszystko ginąć z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność...

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA

LEGENDA INDYJSKA.

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Kryszna zamyślił się głęboko i rzekł:

— Myślałem, że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi — i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, kołysany nocnym powiewem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak, niema między ludźmi nic podobnego! — powtórzył z westchnieniem.

Ale po chwili pomyślał:

— Dlaczegobym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, któraby była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewicę i stań przede mną.

Zadrżała wnet leciuchno fala, jakby trącona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się

głośniej nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora — rzekł: — bądź odtąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem.

— Panie! zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać każesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdem tchnieniem wiatru. Bałam się, panie, nawałnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę, i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać każesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc... Zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, panie!

— Chcesz stepów bez końca?

— O panie! wichry i burze tratują stepy, nakształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić, kwiecie wcielony?... Ha! w pieczarach Ellory żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać zdala od świata w pieczarze?

— Ciemno tam, panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na ręku. Dziewczyna stała przed nim, drżąca i przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozlocila się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali w lasach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających liany, i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrzawszy wcielony lotus, przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder, i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnem dziełem i rzekł:

— Zbudź się, Walmiki, i przemów.

I Walmiki przemówił:

— ..... Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno! znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkaj w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— ..... Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa, poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystem jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła, i strach owionął ją, niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony, — spytał — czy i serca poety się boisz?

— Panie, — odpowiedziała dziewczyna — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednem sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór,

i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł:

— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

LISTY O ZOLI

(Le docteur Pascal).

Chcesz, abym wypowiedział, co myślę o «Doktorze Pascalu» Zoli i wogóle o całym cyklu «Rougon Macquartów». Może dlatego, że pochodzę ze społeczeństwa, w którem tyle sił idzie na marne, dość, że każde dzieło zamierzone i skończone przejmuje mnie rzetelnym szacunkiem i zarazem ma dla mnie jakiś dziwny i wyjątkowy urok. Ilekroć zdarzyło mi się podpisywać pod jakąkolwiek moją pracą to słowo: *Koniec*, tylekroć doznawałem jakby uczucia radości, nietylko z powodu skończonego trudu, nietylko ze względu na przyszłe możliwe powodzenie książki, ale równie z poczucia dokonanego czynu. Bo każda książka to czyn — zły lub dobry, ale dokonany — cały zaś ich szereg, zwłaszcza napisany w imię jednej myśli przewodniej, to zadanie życia spełnione, to uroczystość dożynek, podczas której przodownikowi służy prawo do wieńca i do pieśni: «Plon niesiem, plon!»

Ale oczywiście zasługa zależy od plonu. Zawód pisarski ma swoje kolce, o których się czy-

telnikom nie śniło. Chłop, zwożący snopy do stodoły, ma tę zupełną pewność, że zwozi pszenicę, żyto, jęczmień lub grykę, które pójdą ludziom na zdrowie. Autor, w najlepszej nawet wierze piszący, może mieć chwile zwątpienia: czy zamiast chleba, nie dawał truciznę? czy dzieło jego nie jest jedną wielką pomyłką, lub jedną wielką winą? czy wyszło ludziom na dobre? czyby nie lepiej było i dla nich i dla niego samego, gdyby był niczego nie dokonał, nic nie napisał i zmarniał?

Wątpliwości są wrogiem ludzkiego spokoju, ale zarazem i filtrem, który nie przepuszcza mętnego osadu. Źle, gdy ich jest za wiele, źle, gdy za mało; w pierwszym razie ginie zdolność do czynu, w drugim sumienie. Stąd odwieczna, jak ludzkość, potrzeba regulatora zzewnątrz.

Lecz francuscy pisarze odznaczali się zawsze nieporównanie większą bezwzględnością od innych, ów zaś regulator, którym gdzieindziej bywała religia, przestał dla nich istnieć oddawna. Zdarzały się zapewne wyjątki. Balzac twierdził, że zadaniem jego było służyć religii i monarchii. Lecz nawet dzieła tych, którzy wygłaszali podobne zasady, nie bywały z nimi zgodne. Możnaby powiedzieć, że tak podobało się rozumieć swoją działalność autorom, ogół zaś czytający mógł ją rozumieć i częstokroć rozumiał,

jako negacyę zasad społecznych, religijnych, etycznych. W ostatniej jednak epoce podobne nieporozumienie stało się niemożliwem, autorowie bowiem otwarcie zaczęli występować albo w imię własnych osobistych przekonań, nie liczących się z niczem i wprost przeciwnych podstawom i węzłom społecznym, albo z objektywną analizą, która w rozbiorze życia notuje zło i dobro, jako objawy zarówno konieczne i zarówno usprawiedliwione. Francyę, a przez Francyę i resztę Europy, jęła zalewać powódź książek, pisanych z tak lekkiem sercem, tak bezwzględnie i zuchwale, tak nie liczących się z żadną odpowiedzialnością wobec ludzi, że nawet tych, którzy przyjmowali je również bez skrupułu, poczęło ogarniać zdziwienie. Zdawało się, iż każdy autor wysadza się na to, by pójść dalej nawet, niż się po nim spodziewano. W ten sposób dochodziło się do nazwy śmiałego myśliciela i oryginalnego artysty. Zuchwałość w poruszaniu przedmiotów i w sposobie przedstawiania ich zdawała się być najcenniejszym przymiotem pisarza. Przyszła do tego zła wiara lub nieświadome oszukiwanie siebie i innych. — Analiza! Analizowano w imię prawdy, która niby musi i ma prawo być wypowiedzianą, wszystko, lecz przeważnie zło, brudy, ludzką zgniliznę i ohydę. Nie spostrzeżono się, że ta

pseudo-analiza przestaje być objektywnym rozbiorem, a staje się chorobliwem zamiłowaniem w rzeczach zgniłych, wypływających z dwóch przyczyn: naprzód z zepsucia smaku, powtóre z większej łatwości wytwarzania efektów jaskrawych. Skorzystano z tej fizyologicznej właściwości zmysłów, na mocy której wrażenia wstrętne wydają nam się silniejsze i rzeczywistsze, niż przyjemne — i nadużyto tej właściwości bez miary. Wytworzyło się pewnego rodzaju komiwojażerstwo w zgniliźnie, przy prędkiem bowiem zużywaniu przedmiotów, chodziło o to, by wynaleźć coś nowego, coby jeszcze mogło targnąć. Sama prawda, w której imię to się działo, poszła wobec tych wymagań w kąt. Znasz «La Terre» Zoli? Ma w tem być obraz wsi francuskiej. Przypomnij sobie jakąkolwiek francuską lub inną. Co to razem jest? — oto zbiór chat, drzew, pól ornych, łanów zboża, kwiatów polnych, ludzi, trzód, światła, błękitu, śpiewów, małych interesów zaściankowych — i pracy. W tem wszystkiem bez wątpienia nawóz odgrywa niemałą rolę, ale jest jeszcze coś poza nim i obok niego. Tymczasem wieś Zoli wygląda tak, jakby się składała wyłącznie z gnoju i zbrodni. I oto obraz jest fałszywy, prawda skrzywiona, gdyż w naturze prawdziwy stosunek rzeczy jest inny. Gdyby ktoś zadał

sobie trud ułożenia listy kobiet, występujących w powieści francuskiej, przekonałby się, że przynajmniej dziewięćdziesiąt pięć procent jest upadłych. Tymczasem w społeczeństwie tak nie jest i być nie może. Prawdopodobnie nie było nigdy takiego stosunku nawet w tych krajach, w których ongi czczono Astartę. A jednak autorowie chcą w nas wmówić, że dają prawdziwy obraz społeczeństwa i że ich obyczajowa analiza jest objektywną. Kłamstwo, przesada, lubowanie się w rzeczach zgniłych — oto dokładny obraz beletrystycznego żniwa czasów ostatnich. Nie wiem, co na tem zyskała literatura, ale wiem, że dyabeł nic nie stracił, płynęła bowiem tą drogą cała rzeka błota i trucizny, a zmysł moralny tak tępiał, że w końcu począł łatwo znosić takie książki, które kilka dziesiątków lat temu zaprowadziłyby autora przed sąd. Dziś wierzyć się nie chce, że niegdyś «Madame Bovary» naraziła autora na dwukrotny proces. Gdyby była napisana we dwadzieścia lat później, uznanoby ją za zbyt skromną.

Lecz duch ludzki, który nie zasypia, i organizm, które chce żyć, nie znoszą nadmiaru trucizn. Przyszła wreszcie chwila na czkawkę obrzydzenia. Poczynają się obecnie podnosić głosy, wołające o inny chleb umysłowy; rodzi się instynktowe poczucie, że tak dalej iść nie

może, że trzeba się podnieść, otrząsnąć z błota, oczyścić, zmienić. Ludzie wołają o świeży powiew. Ogół nie umie powiedzieć, czego chce, ale wie, czego nie chce, wie, że oddychał miazmatami i że mu duszno. Niepokój ogarnia umysły. W tej samej Francyi czegoś się szuka i o coś woła. Poczyna się jakaś głucha protestacya przeciw panującemu stanowi rzeczy. Wielu pisarzów odczuwa ów niepokój. Przychodzą na nich takie chwile zwątpienia, o jakich wspomniałem wyżej, a przytem lęku i goryczy, spotęgowanej niepewnością dróg nowych. Patrz na ostatnie książki Bourgetów, Rodów, Barrèsów, Desjardinsów, na poezye Rimbauda, Verlaine'a, Heredii, Malarmego, a choćby Maeterlincka i jego szkoły. Co w nich jest? Poszukiwanie nowej treści i nowych form, gorączkowe poszukiwanie jakiegoś wyjścia, niepewność, dokąd się zwrócić i gdzie szukać ratunku: czy w mistycyzmie, czy w wierze, czy w obowiązkach poza wiarą, czy w patryotyzmie, czy w ludzkości? Przedewszystkiem jednak widać w nich niepokój ogromny. Wyjścia nie znajdują, bo do tego potrzeba dwóch rzeczy: wielkiej idei i wielkiego talentu, a oni nie mają ni idei, ni potężnego talentu. Stąd niepokój wzrasta jeszcze bardziej, i ci sami, którzy występują przeciw grubijańskiemu pesymizmowi naturali-

stycznego kierunku, sami wpadają w pesymizm, przez co osłabia się główne znaczenie i zadanie, jakie mogłaby mieć reforma. Co bowiem pozostaje? Dziwactwo formy. I w tem dziwactwie, czy ono się nazywa symbolizmem, czy impresyonizmem, brnie się coraz głębiej i gmatwa się coraz bardziej i traci się artystyczną równowagę, zdrowy rozum, pogodę duszy, często popada się w dawniejszą zgniliznę pod względem treści, a prawie zawsze w rozbrat z samym sobą, ma się bowiem i słuszne i cne poczucie, że trzeba dać światu coś nowego, a nie wie się co.

Taka jest chwila obecna.

Mniejsza z tem, że każdy złodziej grosza publicznego, czy prywatnego, lub każdy morderca, może się powołać na jakąś neurasteniczną babkę. Sądy, mimo cyklu Rougon-Macquartów, umieszczą ich za kratą. Zło leży nie w poszczególnych wypadkach, ale w tem, że w dusze ludzkie spływa niesłychany pesymizm i pognębienie, że zatraca się w nich urok życia, nadzieja, energia, ochota do życia, a zatem i do wszelkich wysiłków w kierunku dobra. *A quoi bon?* Oto pytanie, które nastręcza się samo przez się. Książka to przecie także czynnik, urabiający duszę ludzką. Gdybyż przynajmniej czytelnik znalazł w książkach Zoli złe i dobre

strony życia w równoważnym stosunku, gdyby przynajmniej w takim, w jakim one znajdują się w rzeczywistości! Próżna nadzieja. Trzeba się wysoko wspinać, by dostać barw od zorzy lub tęczy, a ślinę każdy ma w ustach, i malować nią łatwiej. Ten naturalista lubi więcej od innych tanie efekta: woli zaduch niż zapach, zgniliznę niż żywą krew, próchno niż zdrową miazgę, nawóz niż kwiaty, *la bête humaine* niż *l'âme humaine!*

Gdybyśmy mogli sprowadzić jakiego mieszkańca Marsa lub Wenus i kazać mu wnioskować o życiu na ziemi z powieści Zoli, powiedziałby niewątpliwie: «Życie to bywa czasem trochę czystem, jako «*le rêve*», ale wogóle jest to rzecz mocno niepachnąca, często obślizgła, najczęściej straszna». I gdyby nawet te teorye, na których wspiera się Zola, były, jak nie są, uznanemi prawdami, co za brak miłosierdzia przedstawiać tak życie ludziom, którzy jednak muszą żyć! Czy w tym celu, by je stoczyć, zbrzydzić, splugawić, zatruć każdą czynność, sparaliżować wszelką energię, odjąć ochotę do wszelkiego myślenia? Wobec tego, doprawdy, ma mu się za złe nawet talent. Lepiej dla niego, lepiej dla Francyi byłoby, żeby go nie miał. I czasem dziw bierze, że go nie ogarnia bojaźń, iż gdy niepokój chwyta tych nawet, którzy nie

hetmanili rozkładowi, on jeden z tak spokojnem czołem kończy swoich Rougon-Macquartów, jak gdyby zdolność życiową Francuzów potęgował, nie zaś łamał. Jakim sposobem nie przychodzi mu do głowy, że ludzie, którzy chowali się na tym zepsutym chlebie i na tej zgniłej wodzie, nietylko nie oprą się burzy, ale nawet nie będą mieli do tego ochoty? Musset w swoim czasie napisał słynny wiersz: «Myśmy już mieli wasz Ren niemiecki» — Zola tak wychowuje swoje społeczeństwo, że gdyby wszystko, co szczepi, naprawdę się wszczepiło, drugi wiersz pieśni Musseta mógłby brzmieć tak: «Lecz dziś oddamy wam nawet Sekwanę». A przecie tak źle jeszcze nie jest!

«La Débâcle» jest, mimo swych usterek, znakomitą książką, ale żołnierze, którzy ją czytać będą, ustąpią tym, którzy nocami śpiewają psalm: «Chrystus zmartwychwstał!» Gdybym był Francuzem, uważałbym talent Zoli za narodowe nieszczęście i cieszyłbym się, że jego czas mija, że nawet najbliżsi uczniowie opuszczają mistrza i że coraz bardziej zostaje sam.

Czy przytem zostanie w pamięci ludzkiej, w literaturze, czy sława jego nie minie — przesądzać trudno, wątpić wolno. W cyklu Rougon-Macquartów są tomy istotnie potężne, jak «Germinal» lub «La Débâcle». Lecz wogóle to, co

wrodzony talent Zoli uczynił dla jego nieśmiertelności, to popsuło jego lubowanie się w brudnym realizmie i jego język wprost plugawy. Literatura nie może posługiwać się takiemi wyrażeniami, jakich wstydzą się między sobą nawet prostacy. Prawda realna, o ile chodzi o ludzi występnych, upadłych, o nędzarzy, da się osiągnąć innym sposobem, przez prawdopodobne oddanie ich stanów duszy, myśli, czynów, wreszcie przez tok ich mowy, ale nie przez cytowanie dosłowne ich przekleństw i najwstrętniejszych słów. Tak w doborze obrazów, jak w doborze wyrażeń, istnieje pewna miara, wskazywana przez rozsądek i dobry smak. Zola ją przebrał do takiego stopnia («La Terre»), do jakiego nikt dotychczas nie śmiał się posunąć. Potworne płody dlatego, że są potworne, skazane są na śmierć. Książka, która budzi obrzydzenie, musi być zrzuconą. To także leży w naturze rzeczy. Z dawnych utworów powszechnej literatury przeżyły zapomnienie płody grube, przeznaczone do budzenia śmiechu (Arystofanes, Rabelais etc.), lub rzeczy swawolne, ale pisane wykwintnie (Boccacio), nie przeżyła ani jedna, obliczona na pobudzenie mdłości. Zola, dla rozgłosu, jaki powstawał z powodu jego książek, dla skandalu, jaki wywoływał każdy pojedyńczy tom, zabijał swoją przyszłość. Zdarzyła

się też wskutek tego dziwna rzecz, że on, człowiek piszący wedle ułożonego planu, piszący z rozmysłem, zimny i panujący, jak mało kto, nad przedmiotem, tworzył rzeczy najlepsze tylko wówczas, gdy miał jak najmniej sposobności do przeprowadzenia swoich planów, doktryn, sposobów, słowem wówczas, gdy jak najmniej panował nad przedmiotem, a jak najwięcej przedmiot nad nim.

Tak zdarzyło się w «Germinalu» i «La Débâcle». Ogrom socyalizmu i ogrom wojny zgniotły poprostu Zolę z całym jego aparatem umysłowym. Jego doktryny zmalały wobec takich rozmiarów i zaledwie je słychać w szumie powodzi, zalewającej kopalnię, i przy huku dział pruskich. Został tylko talent. To też i w tej i w tamtej powieści są prawdziwe dantejskie karty. Z «Doktorem Pascalem» stało się coś przeciwnego. Jako ostatni tom cyklu, musiał on być ostatecznym wnioskiem, wyprowadzonym z całego dzieła, syntezą doktryny, wieżycą kończącą gmach. Z tego powodu więcej się w nim mówi o doktrynie, niż w którymkolwiek z poprzednich tomów, że zaś doktryna jest zła, licha, fałszywa i marna, przeto i «Docteur Pascal» jest najlichszą i najnudniejszą książką z całego cyklu Rougon-Macquartów. Szereg kart pustych, jałowych, na których nuda bierze się

za ręce z brakiem zmysłu moralnego, bladość obrazów z fałszem — oto «Le docteur Pascal». Zola chce go mieć porządnym człowiekiem. Jest to wyrodek z Rougon-Macquartów. W dziedziczności trafiają się takie szczęśliwe wyrodzenia — doktor wie o tem, sam uważa się za błogi wyjątek, i jest to dla niego źródłem nieustającej wewnętrznej pociechy. Tymczasem kocha ludzi, służy im i zastrzykuje ich wynalezionym przez siebie płynem, który jest walnym środkiem na wszelkie dolegliwości. Jest to słodki mędrzec, który bada życie, więc zbiera «dokumenty ludzkie», buduje mozolnie drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów, których sam jest potomkiem, i na mocy swych obserwacyi dochodzi do takich samych wniosków, jak Zola. Do jakich? Trudno na to odpowiedzieć; oto mniej więcej, że jak kto nie jest zdrów, to zwykle bywa chory, i że dziedziczność istnieje, ale że matki lub ojcowie, pochodzący z innych rodzin, mogą wnosić do krwi dzieci nowe pierwiastki, tak, że dziedziczność może być modyfikowaną do takiego stopnia, iż ściśle biorąc, nie istnieje.

Doktor Pascal jest przytem pozytywistą. Nie chce nic przesądzać, ale twierdzi, że dzisiejszy stan wiedzy nie pozwala na wyprowadzanie dalszych wniosków nad te, które na mocy obser-

wacyi faktów znanych wyprowadzić się dadzą, więc też tych należy się trzymać, reszty zaniechać. Pod tym względem przesądy jego nic mówią nam nic nowszego od artykułów dziennikarskich, pisanych przez młodych pozytywistów. Dla ludzi, którzy się rwą, dla tych potrzeb duchowych, tak silnych, jak głód i pragnienie, z mocy których człowiek odczuł takie pojęcia, jak Bóg, wiara, nieśmiertelność, doktor ma tylko uśmiech politowania. I możnaby mu się nieco dziwić. Rozumiałoby się go lepiej, gdyby nie uznawał możności rozwiązania różnych oderwanych pytań, ale on twierdzi, że i potrzeba nie istnieje — przez co grzeszy przeciw oczywistości, bo oto potrzeba taka istnieje, nie dalej, niż pod jego własnym dachem, w osobie jego siostrzenicy. Ta młoda osoba, wychowana w jego zasadach, traci nagle grunt pod nogami. W duszy jej rodzi się więcej pytań, niż tyle, na ile doktor może odpowiedzieć. I z tą chwilą poczyna się dramat dla nich obojga.

— Ja na tem nie mogę poprzestać — woła siostrzenica: — ja się dławię, ja muszę coś wiedzieć, czegoś być pewną, a jeśli twoja nauka nie może tej mojej nieprzepartej potrzeby zaspokoić, tedy idę tam, gdzie mnie nietylko uspokoją, nietylko wszystko wytłómaczą, ale uczynią szczęśliwą — idę do kościoła!

I idzie. Drogi mistrza i uczennicy rozchodzą się coraz bardziej. Uczennica dochodzi do przekonania, że ta nauka, która jest tylko pętlą na szyję ludzką, jest wprost zła, i że zasługą przed Bogiem byłoby spalić te szpargały, w których doktor zapisuje swoje spostrzeżenia. I dramat spiętrza się, bo mimo sześćdziesięciu lat doktora, a dwudziestu kilku Klotyldy, tych dwoje ludzi kocha się, nietylko tak, jak kochają się krewni, ale jak mężczyzna i kobieta. Ta miłość dodaje goryczy walce i przyśpiesza katastrofę.

Wśród tych szukających po omacku, błądzących i niespokojnych, jeden przedewszystkiem pozostał spokojny, pewien siebie i własnej doktryny, niewzruszony i niemal pogodny w swoim pesymizmie, to Emil Zola. Talent wielki, siła powolna, ale wielka i cierpliwa, objektywizm, jeśli mowa o uczuciu, zadziwiający, bo równy zupełnej prawie obojętności, dar widzenia zbiorowej duszy ludzkiej i rzeczowej tak wyjątkowy, że zbliżający tego naturalistycznego pisarza do mistyków, — czynią z niego postać niepowszednią i bardzo oryginalną. Nie zawsze twarz fizyczna człowieka odbija jego duchową osobistość. W Zoli związek ten występuje nader wybitnie. Twarz kwadratowa, czoło nizkie i pokryte zmarszczkami, rysy grube, wysokie ramiona i krótki kark, dają jego postaci coś gru-

bijańskiego. Z twarzy tej i ze zmarszczek koło oczu odgadniesz, że to jest człowiek, który dużo wytrzyma, wiele potrafi udźwignąć, uparty i wytrwały aż do zaciętości, nietylko w zamiarach i w ich urzeczywistnianiu, ale, co główna, i w myśleniu. Bystrości niemasz w nim. Na pierwszy rzut oka widać, że to jest zamknięty w sobie doktryner, który, jako doktryner, nie ogarnia szerokich widnokręgów, widzi wszystko pod pewnym kątem i ciasno, ale widzi wyraźnie. Umysł jego, jak ślepa latarka, rzuca wązkie światło w jednym tylko kierunku, i idzie w tymże kierunku z niezachwianą pewnością. I oto zarazem objaśnia się historya tego całego szeregu książek, które noszą ogólny tytuł: «Les Rougon-Macquart». Zola postanowił napisać historyę danego rodu za czasów Cesarstwa, na tle warunków, jakie ono wytworzyło, z uwzględnieniem prawa dziedziczności. Chodziło nawet o coś więcej, niż uwzględnienie, albowiem owa dziedziczność miała stanowić fizyologiczną podstawę dzieła.

Istnieje tu pewna sprzeczność w założeniu. Rougon-Macquartowie, biorąc historycznie, mieli być obrazem francuskiego społeczeństwa z ostatnich czasów i jego normalnych objawów życia, zatem sami winni byli być rodziną mniej więcej normalną. Ale w takim razie: co robić z dzie-

dzicznością? Zapewne, że rodziny normalne są takiemi również na mocy praw dziedziczności — wykazać jej jednak w tych warunkach niepodobna, można zaś to uczynić tylko na zboczeniach od normalnego typu. Więc też istotnie Rougonowie są rodziną chorą. Są to dzieci nerwozy. Popadła w nią pierwotna matka rodu, i odtąd potomkowie rodzili się już z jej piętnem na czole. Tak chce autor, i trzeba się na to zgodzić. Jakim jednak sposobem historya rodziny, wyjątkowo dotkniętej zboczeniami umysłowemi, może być jednocześnie obrazem francuskiego społeczeństwa, tego nam autor nie tłómaczy. Gdyby odpowiedział, że za Cesarstwa całe społeczeństwo było chore, byłby to wykręt. Społeczeństwo może iść zgubną drogą polityczną lub obyczajową, jak to czyniło nasze w XVIII wieku, i być jako ogół chorem, ale składać się z osobników i rodzin zdrowych. To są dwie rzeczy różne. Jedno więc z dwojga: albo Rougonowie są chorzy, a wówczas cykl powieści o nich nie jest obrazem Francyi za Cesarstwa, tylko studyum psychologicznem, albo cała podstawa fizyologiczna, cała owa dziedziczność, na której cykl jest oparty, słowem: cała doktryna Zoli, — jest nonsensem. Nie wiem, czy kto zwracał kiedy uwagę Zoli na to: aut, aut! To pewna, że on sam nie zwrócił jej nigdy. Prawdo-

podobnie przytem nie miałoby to na niego żadnego wpływu, tak, jak nie miały krytyki jego teoryi dziedziczności. I beletryści i fizyologowie występowali przeciw niej nieraz z całym zasobem nieprzepartych dowodów. Nic nie pomogło. Próżno twierdzono, że teorya dziedziczności w ścisłej nauce nie jest zbadaną, dowiedzioną, i, co przedewszystkiem: do uchwycenia i wykazania na drodze faktów dotychczas niepodobną; próżno dowodzono, że fizyologia nie może być fantastyczną, a jej prawa nie mogą zależeć od dowolnych pomysłów autorskich, — Zola słuchał, pisał dalej, i w końcowym tomie dzieła dodał drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów, tak spokojnie, jakby nikt nigdy jego teoryi nie podawał w wątpliwość.

Ostatecznie, to drzewo ma jedną dobrą stronę. Jest tak pretensyonalne, że aż śmieszne, i odejmuje teoryi tę resztkę powagi, jakąby ona dla mniej samodzielnych umysłów mieć mogła. Dowiadujemy się z niego, że z chorej nerwowo, a przytem łatwej w stosunkach prababki wyrasta chory ród. Lecz ktoby sądził, że jej newroza odbija się w potomkach tak, jak to bywa w zakresie fizycznym, w pewien jednolity sposób, w jakiejś przeważnej do czegoś skłonności, lub namiętności, tenby się mylił. Przeciwnie: cudowne drzewo rodzi najróżnorodniejsze owoce. Są na niem ró-

żowe jabłka, grusze, śliwki, daktyle, niespliki i co kto chce. A wszystko z powodu babcinej newrozy! Czy tak bywa w naturze? Nie wiemy. Sam Zola nie ma na to innych danych, prócz jakoby wycinków z gazet, opisujących różne zbrodnie, które przechowuje starannie, jako «dokumenty ludzkie», i którymi manewruje według własnej fantazyi. I to mu wolno; niech tylko nie sprzedaje nam tej fantazyi jako odwiecznego i niezmiennego prawa natury. Babka miała newrozę, jej najbliżsi przyjaciele mieli zwyczaj szukać, nie w aptece, lekarstwa na frasunek, więc męscy i żeńscy potomkowie babki są tem, czem *muszą* być — mianowicie: zbrodniarzami, złodziejami, ulicznicami, porządnymi ludźmi, świętymi, politykami, dobremi matkami, stręczycielkami, bankierami, rolnikami, mordercami, księżmi, ministrami, słowem wszystkiem, czem w zakresie umysłu, w zakresie zdrowia, w zakresie majątku i położenia, w zakresie zawodu, mogą być i bywają tak mężczyźni, jak kobiety na całym świecie. I mimowoli ogarnia osłupienie. Więc co? Więc to wszystko przez babciną newrozę? Tak! — odpowiada autor. Ale, gdyby Adelajda Fouque jej nie miała, przecie potomstwo jej także musiałoby być złem, lub dobrem, i zajmować się tem, czem zwykle zajmują się na świecie mężczyźni lub kobiety? —

Zapewne! — odpowiada Zola — ale Adelajda Fouque miała newrozę. I dalsza rozprawa staje się wprost niepodobną, ma się bowiem do czynienia z człowiekiem, który własną dowolną fantazyę bierze za prawo natury i którego umysłu zwyczajny klucz, jakiego dostarcza logika, nie otwiera. Oto zbudował sobie drzewo genealogiczne; to drzewo mogło być inne — ale gdyby było inne, onby utrzymywał, że jedynie może być takiem, jak jest — i łatwiej byłoby go zabić niż przekonać, że jego teorya nic nie warta.

Zresztą, jest to teorya tego rodzaju, że właściwie niema o co się kłócić. Dawno już powiedziano: u Zoli jest jedna rzecz dobra — jego talent, i jedna zła — jego doktryna. Jeśli skutkiem odziedziczonej po jednym i tym samym przodku newrozy, można być tak dobrze łotrem, jak porządnym człowiekiem, tak dobrze Naną, jak Siostrą miłosierdzia, tak dobrze zwierzęciem, jak mędrcem, tak dobrze parobkiem, jak Achillesem — to w takim razie — «jest tam taki mostek, co go niema» — jest to taka dziedziczność, której niema. Człowiek może być tem, czem sam chce. Pole dla dobrej woli i odpowiedzialności zupełnie otwarte, i te wszystkie moralne podstawy, na których wspiera się życie ludzkie, wychodzą bez szwanku z opałów. Autorowi możnaby powiedzieć, że jest to: «to much

ado aboot nothing», i skończyć z nim, jako z doktrynerem, a liczyć się tylko, jako z talentem. Lecz jemu o co innego chodzi. Jakkolwiek luźną i poprostu żadną jest jego doktryna, on wyprowadza z niej inne wnioski. Cały cykl jego książek mówi wyraźnie i niedwuznacznie: «Czemkolwiek jesteś, świętym czy zbrodniarzem, jesteś nim z mocy prawa dziedziczności — jesteś takim, jak być musisz, i w żadnym razie niema ani twojej winy, ani twojej zasługi». Ach, oto kwestya odpowiedzialności! Ani tu pora, ani miejsce jej poruszać. Filozofia nie znalazła dowodu na to, że człowiek istnieje, a gdy Kartezyańskie: «Cogito, ergo sum» nie okazało się wystarczającem — pytanie jest dotychczas otwarte. Tak samo z odpowiedzialnością. Niechby całe wieki filozofii twierdziły tak lub inaczej, człowiek ma przeświadczenie wewnętrzne, że istnieje — i niemniej mocne przeświadczenie, że jest odpowiedzialny, i całe jego życie, bez względu na jego teorye, jest na takiem przeświadczeniu oparte. Zresztą i ścisła nauka kwestyi woli i odpowiedzialności nie rozstrzygnęła. Przeciw powagom można zacytować powagi, przeciw opiniom opinie, przeciw wywodom wywody. Dla Zoli jednak jest to kwestya rozstrzygnięta. Odpowiedzialności niema, jest tylko jakaś babka Adelajda, lub dziadek Jacques, od których

wszystko zależy. I odtąd zaczyna się, podług mnie, zgubny wpływ tego pisarza, gdyż on nietylko nieprzesądzone pytania przesądza, ale je popularyzuje, wszczepia i ułatwia rozkład.

Pewnej nocy doktor chwyta siostrzenicę na zbrodni. Oto dobrała się do jego szafy, powyciągała szpargały i gotuje się je spalić. Wtedy poczynają się bić. Piękny obraz! On w bieliźnie, ona w gieźle nocnem, i ciągają się za czupryny, szarpią się, drapią. On jest mocniejszy, a ona, jakkolwiek wylomotał ją i pokrwawił, odczuwa pewną przyjemność w tem doświadczeniu na własnej dziewiczej skórze siły męskiej. I w tem jest cały Zola. Ale słuchajmy, bo chwila stanowcza zbliża się. Sam doktor, wysapawszy się nieco, zapowiada ją uroczyście. Czytelnika zdejmuje dreszcz. Czy doktor siłą swego geniuszu rozedrze nocne niebo i pokaże jej pustkę nad gwiazdami, czy siłą wymowy zwali w proch jej kościół, jej wierzenia, jej porywy, jej nadzieje? Mimowoli przychodzi na myśl wiersz:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

W ciszy odzywa się nizki głos doktora:

— Nie chciałem ci tego pokazywać, ale tak dłużej żyć nie można, więc czas nadszedł. Podaj mi drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów.

Co? Co!

Tak jest! Drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów! W ciszy zaczyna się czytanie: Była sobie Adelajda Fouque, która miała męża Rougona, a przyjaciela Macquarta. Z Rougona urodził się Eugeniusz Rougon, takoż Pascal Rougon, takoż Arystydes, takoż Sydonia, takoż Marta. A z Arystydesa urodził się Maksym, takoż Klotylda, takoż Wiktor, a z Maksyma urodził się Karol, i na tem koniec; lecz Sydonia miała córkę Anielę, a Marta, która poszła za Moureta, który pochodził z Macquartów, miała troje dzieci i t. d.

Noc przechodzi, blednie, a czytanie trwa. Po Rougonach przychodzą Macquartowie — później potomstwo obu połączonych rodów. Idzie imię za imieniem, nazwisko za nazwiskiem. Występują źli, występują dobrzy, występują obojętni, występują wszelkie stany, od ministrów, bankierów, wielkich kupców, aż do prostych żołnierzy, albo drapichróstów bez zajęcia — wreszcie doktor przestaje czytać — i spojrzawszy swemi oczyma mędrca na siostrzenicę, pyta:

— No, i cóż teraz?

A piękna Klotylda rzuca się w jego objęcia:

— Vicisti! vicisti!

I jej Bóg, jej wiara, jej kościół, jej porywy

ku ideałom, jej potrzeby ducha — rozsypują się w proch.

Dlaczego? Na mocy jakiego ostatecznego wniosku? dla jakiej dobrej racyi? Co ją mogło w tem drzewie przekonać, co wywrzeć jakiekolwiek inne wrażenie, prócz wrażenia nudy? Dlaczego z ust jej nie wyszło pytanie, które narzuca się nieprzeparcie czytelnikowi: «A więc cóż z tego?» — Niewiadomo. Nie zdarzyło mi się nigdy zauważyć, by jakikolwiek autor, z przyczyny tak błahej i tak ubocznej, wyprowadzał tak wielkie i bezpośrednie skutki. Jest to coś tak zdumiewającego, jak gdyby Zola kazał rozpaść się w proch wierze i zasadom Klotyldy, na skutek przeczytania jej przez doktora kalendarza, przewodnika kolejowego, listy potraw, lub katalogu jakiegoś muzeum. Dowolność przechodzi tu wszelkie granice i staje się wprost niezrozumiałą. Czytelnik pyta się: czy autor łudzi sam siebie, czy też chce zasypać piaskiem oczy publiczności? I ten punkt kulminacyjny powieści jest zarazem upadkiem i jej i całej doktryny. Klotylda winna była odpowiedzieć, co następuje:

«Twoja teorya nie stoi w żadnym związku z moją wiarą w Boga i Kościół. Twoja dziedziczność jest tak *luźną* i na mocy jej tak dalece można być *wszystkiem*, że ona sama staje

się *niczem* — a więc i wszystkie dalsze wnioski, które z niej wyprowadzasz, również oparte są na niczem. Nana, według ciebie, jest ulicznicą, a Aniela świętą; ksiądz Mouret jest ascetą, Jaques Lautier mordercą, a wszystko z powodu babki Adelajdy? A ja ci powiadam z większem realnem prawdopodobieństwem, że dobrzy są dobrymi dlatego, że mają moją wiarę, że wierzą w odpowiedzialność i nieśmiertelność duszy, a źli są złymi dlatego, że w nic nie wierzą. Czem mi dowiedziesz, że przyczyną zła i dobra jest Adelajda Fouque? Chyba zaręczysz słowem; chyba powtórzysz, że tak jest, bo jest; ja zaś mogę ci powiedzieć, że wiara i poczucie odpowiedzialności były od wieków hamulcem złego, i temu, jeśli choć trochę liczysz się jako pozytywista z rzeczywistością, zaprzeczyć nie potrafisz. Jednem słowem, ja mam dowody objektywne, ty tylko swoje osobiste widzi mi się; jeśli zaś tak jest, to zostaw mi moją wiarę, a swoje fantastyczne drzewo sam wrzuć do pieca».

Lecz Klotylda nic odpowiada nic podobnego. Przeciwnie, ona odrazu spożywa jabłko z tego marnego drzewa — i przechodzi z duszą i ciałem do obozu doktora, a czyni to jedynie i wyłącznie dlatego, że się Zoli tak podoba. Innej przyczyny niema i być nie mogło.

Gdyby przeszła z miłości dla doktora, gdyby ten powód, który w kobiecie może odegrać tak wielką rolę, istotnie ją odegrał, byłoby to jeszcze zrozumiałem. Ale nie! Bo w takim razie cóżby się stało z całą doktryną Zoli? To ona jedynie wpływa na Klotyldę, to jej stronę rozumową chce mieć autor tak nieprzepartą. I dzieje się tak, jak on chce, ale już poprostu kosztem logiki i zdrowych zmysłów. Od tej pory wszystko będzie wolno; będzie wolno wmawiać w czytelnika, że niekochany mężczyzna rozkochał w sobie kobietę za pomocą pokazania jej cennika masła lub świec stearynowych. Do tego prawdziwy i wielki talent doprowadzany bywa przez doktrynerstwo.

Doprowadza ono również do zupełnego zaniku zmysłu moralnego. Ta dziedziczność to jest ściana, w której można wybić tyle okien, ile się podoba. Doktor jest takiem oknem. Uważa on się za wyrodka z pod familijnej newrozy, to jest za człowieka normalnego, więc, jako taki, pragnąłby przekazać swoje zdrowie potomstwu. Klotylda jest również zdania, że nie byłoby to od rzeczy, że zaś łączy ich miłość, zatem się biorą. Biorą się oczywiście tak, jak brali się ludzie w czasach jaskiniowych. Zola uważa to za zupełnie naturalne, doktor Pascal także, a że Klotylda przeszła zupełnie do jego

obozu, więc nie protestuje i ona. To już wydaje się nieco dziwniejsze. Klotylda tak niedawno była przecie religijną! Młodość i niedoświadczenie nie tłómaczy jej również.

Ośmioletnie nawet dziewczyny mają instynktowe niejako poczucie wstydu. Dwudziestokilkoletnia panna wie już zawsze co czyni i ofiarą być nie może, jeśli zaś bierze z uczuciem wstydu rozbrat, to albo przez temperament, albo przez miłość, która uniesienia uszlachetnia, bo czyni je aktem przynależności i obowiązkiem, ale też i sama pragnie być obowiązkiem uprawnionym. Jeśli nawet kobieta jest istotą niereligijną i wyrzeka się uświęcenia miłości przez religię, może jeszcze żądać, by jej uczucie zostało uprawnione wobec ludzi. Ksiądz, albo «monsieur le maire». Klotylda, która kocha przecie doktora Pascala, niczego nie żąda. Ślub, dany przez mera, wydaje jej się rzeczą podrzędną. I tu znów wprost nie można jej zrozumieć, prawdziwej miłości bowiem powinno o to chodzić, by węzeł był wzmocniony i utrwalony. Inaczej dzieje się to, co rzeczywiście dzieje się w tej powieści, że pierwsze rozłączenie się jest końcem stosunku. Gdyby byli wzięli ślub chociaż przed merem, pozostaliby i w rozłączeniu mężem i żoną, nie przestaliby do siebie należeć; ponieważ nie wzięli, więc z chwilą jej odjazdu, on staje się

sobie nieżonatym, jak dawniej, doktorem Pascalem, ona — uwiedzioną panną Klotyldą. Jeszcze za czasów ich wspólnego pożycia wynikają z tego tysiące przykrości i chwil istotnie dla obojga rozdzierających. Razu pewnego np. Klotylda wpada, cała we łzach i płomieniach, a gdy przerażony doktor pyta, co jej się stało, odpowiada:

— Ach, te kobiety! Idąc cieniem, zamknęłam parasolkę i miałam nieszczęście potrącić jakieś dziecko. Wówczas wszystkie napadły na mnie i poczęły wykrzykiwać takie rzeczy!... och, jakie!... że nigdy nie będę miała dzieci, że to nie dla takich ścierek, jak ja!... i inne jeszcze, których powtórzyć nie mogę, nie chcę, których nawet nie zrozumiałam...

Pierś jej podnosiła się łkaniem, on pobladł i, chwyciwszy ją w ramiona, począł okrywać jej twarz pocałunkami, przyczem mówił:

— To moja wina, ty przeze mnie cierpisz! Słuchaj, pojedziemy gdzieś daleko, gdzie nikt nie będzie cię znał, gdzie każdy cię powita, i gdzie będziesz szczęśliwa.

Jedno tylko nie przychodzi obojgu do głowy: żeby się pobrać. Gdy matka Pascala mówi im o tem, mają uszy kamienne. Jej nie dyktuje tego sposobu wstyd kobiecy, jemu troskliwość o nią i chęć osłonienia jej od zniewag. Dlaczego?

Dla niczem nieusprawiedliwionej przyczyny. Dlatego, że się Zoli tak podoba.

Ale może mu chodzi o to, by wykazać, jakie tragiczne skutki rodzą się ze związków nieuprawnionych? Bynajmniej. On całkowicie jest po stronie doktora i Klotyldy. Gdyby wzięli ślub przed merem, nie byłoby dramatu, a autor chce go mieć. Oto powód.

Później następuje bankructwo doktora. Trzeba się rozłączyć. To rozłączenie staje się nieszczęściem ich życia; doktor ma umrzeć od tego ciosu. Oboje czują, że to będzie koniec, oboje go nie chcą — i oboje ani pomyślą o jednym sposobie, któryby raz na zawsze stwierdził ich wzajemną przynależność i rozłączenie zmienił tylko w odjazd, nie w wieczyste rozerwanie: i nie biorą ślubu.

Byli ludźmi bez religii, więc nie chcieli księdza; to się rozumie. Ale dlaczego nie chcieli mera? Pytanie zostaje bez odpowiedzi.

Tu już obok braku zmysłu moralnego jest coś więcej, bo i brak prostego sensu. Powieść jest nietylko niemoralną, ale jest zarazem lichą budą, kleconą z desek nietrzymających się jedna drugiej, nie wytrzymującą najlżejszego zetknięcia się z logiką i zdrowym rozsądkiem. W tem trzęsawisku nonsensów utonął nawet talent.

Jedna rzecz zostaje: trucizna płynie po sta-

remu w duszę czytelników, umysły oswajają się ze złem i przestają się niem oburzać. Trucizna sączy się, rozkłada prostotę duszy, wrażliwość moralną i ów zmysł sumienia, który odróżnia dobre od złego.

Doktor, z żalu po Klotyldzie, dostaje sklerozy i umiera. Ona wraca pod dawny dach i zajmuje się wychowaniem dziecka. Nic z tego, co wszczepił doktor w jej duszę, nie zmarniało i nie zwiędło. Owszem, wyrosło silniej jeszcze. On kochał życie, kocha je teraz i ona, zgadza się na nic zupełnie nie przez rezygnacyę, ale dlatego, że je uznaje — i im więcej nad niem rozmyśla, kołysząc na kolanach dziecko bez nazwiska, tem uznaje je bardziej. Na tem kończy się cykl Rougon-Macquartów.

Lecz ten koniec jest nową niespodzianką. Oto leży przed nami dziewiętnaście tomów, a w nich, jak mówi sam Zola: «tant de boue, tant de larmes... C'était à se demander, si d'un coup de foudre il n'aurait pas mieux valu balayer cette fourmilière gatée et misérable....» I prawda! Ktokolwiek owe tomy przeczyta, ten nie może dojść do innego wniosku, tylko, że życie jest rozpaczliwym i ślepym mechanicznym procesem, w którym, ku większej niedoli ludzkiej, trzeba brać udział, bo uniknąć go niepodobna. Błoto przeważa w nim nad zieloną murawą,

zgnilizna nad czerstwością, trupi zapach nad wonią kwiatów, choroba, obłąkanie i zbrodnia nad zdrowiem i cnotą. To gehenna nietylko straszna, ale i obrzydła. Włosy wstają na głowie, a jednocześnie ślina napływa do ust, i rzeczywiście narzuca się pytanie: czyby nie lepiej było, gdyby piorun zmiótł «cette fourmilière gatée et misérable?»

Innego wniosku być nie może, inny byłby wprost szalonem zboczeniem umysłowem, prostem złamaniem praw rozumu i logiki. A teraz, czy wiecie, jak się naprawdę kończy cykl tych powieści? Oto hymnem na cześć życia.

Tu już opadają ręce. Próżna robota wykazywać znowu, że autor dochodzi do czegoś wprost przeciwnego temu, co powinno było wypaść z jego dzieła. Bóg z nim! Niech jednak się nie dziwi, że opuszczają go nawet uczniowie. Ludzie muszą myśleć wedle praw logiki. A że przytem muszą żyć, więc chcą na tę drogę otuchy. Mistrze, w rodzaju Zoli, dają im tylko rozkład, chaos, wstręt do życia i rozpacz. Ich racyonalizm nie umie wykazać nic innego, wykazywał zaś to zawsze tak skwapliwie, że przebrał miarę. Dziś zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wątpiącym nadziei, targanym niepokojem trochę spokoju, przeto słusznie czynią, zwracając się tam, skąd nadzieja i spokój pły-

nie, tam, gdzie ich błogosławią krzyżem i gdzie im mówią, jak Łazarzowi: «Tolle grabatum tuum et ambula!»

I tem tłómaczy się ostatnia ewolucya, której fale poczynają się rozchodzić na wszystkie strony świata.

Podług mnie, musi przejść przez nią również poezya i powieść — więcej nawet: musi ją potęgować i przyśpieszać. Tak dalej iść poprostu nie można! Na wyjałowionem polu porastają tylko chwasty. Powieść winna krzepić życie, nie zaś podkopywać; uszlachetniać je, nie zaś plugawić; nieść dobrą «nowinę», nie zaś złą. Mniejsza mi o to, czy to, co mówię, podoba się komuś lub nie, sądzę bowiem, że odczuwam wielką i pilną potrzebę duszy ludzkiej, która woła o zmianę.

WYCIECZKA DO ATEN

.... Wyjeżdżając ze Stambulu do Aten, na francuskim statku «Donnaï», miałem przed sobą najpiękniejszy widok, jaki w świecie mieć można. Dżdżyste od kilku tygodni niebo wypogodziło się nakoniec zupełnie i zarumieniło się wspaniałą zorzą wieczorną. Poblizki brzeg azyatycki zalany był światłem; Bosfor i Złoty Róg wyglądały, jak olbrzymie ogniste wstęgi, a Pera, Galata i Stambuł, ze swemi wieżami, z kopułami i minaretami meczetów, tonęły w złocie i purpurze.

«Donnaï» zwrócił dziób ku morzu Marmara i począł burzyć zlekka wodę, przeciskając się ostrożnie wśród natłoku statków parowych, żaglowców, łodzi, łódek i kaików. Konstantynopol jest jedną z lepszych ostoi morskich w Europie, to też u stóp tego miasta, panującego ze stromych wiszarów dwom morzom, roi się drugie miasto — okrętów. Jak nad tamtem minarety, tak nad tem sterczą maszty — nad nimi zaś

tęcza chorągwi. I nie jest ono mniej gwarne. Tu, jak tam, mieszanina języków, ras, barw skóry, strojów. Ujrzysz tu wszystkie typy, jakie tylko zamieszkują przyległe trzy części świata, począwszy od Anglików, skończywszy na półdzikich mieszkańcach Azyi Mniejszej, którzy ściągnęli do stolicy, aby jako »kaidży« zarabiać na kawałek chleba.

Minęliśmy przylądek, za którym wznosi się Stary Seraj.

Pera, Galata i Stambuł poczęły zlewać się w jeden spiętrzony gród, którego krańców oko nie sięga. Ni Neapol, ni żadne inne miasto w świecie, nie może się równać z tą przepyszną panoramą. Wszystkie opisy, począwszy od Lamartina aż do Amicisa, są tylko bladem odbiciem rzeczywistości, bo słowa ludzkie są jeno dźwiękiem, więc ni barw, ni tych kształtów — to smukłych i powietrznych, to olbrzymich i groźnych — oddać nie potrafią. Chwilami zdawało się, że cały gród zaczarowanych pałaców wisi w powietrzu, to znów byłem pod wrażeniem takiego majestatu, ogromu i potęgi, jak gdyby z tego miasta dotychczas jeszcze szedł strach na całą Europę, i jakby w wieży Seraskieratu dziś, tak samo jak ongi, ważyły się losy świata.

Z morza Marmara już tylko największe budowle rozróżnić można golem okiem; więc, prócz

starego Seraju, część murów Jedykuły z siedmiu wieżami, świętą Zofię, Sulemanje i wieżę Seraskieratu. Zwolna stopy miasta zasuwają się coraz bardziej pod wodę: kryją się naprzód mury obwodowe, potem niższe szeregi domostw, potem wyższe, potem meczety i ich kopuły. Miasto zdaje się tonąć. Na niebie ściemnia się także — tylko na strzeliste minarety padają jeszcze ostatnie czerwone i złote blaski. Rzekłbyś: tysiące olbrzymich świec, zapalonych nad niewidzialnym już grodem.

Jest to godzina, w której muezinowie wychodzą na ganki i, wzywając wiernych do modlitwy, oznajmiają na cztery strony świata, że Bóg jest wielki i że noc boża pada na ziemię.

Jakoż nadchodziła noc, nietylko boża, ale pogodna i gwiaździsta. Jest to pora rozmyślań, a że losy przyszłego pokoju lub wojny ważą się istotnie w okolicach tych cieśnin, więc trudno się obronić przewidywaniom politycznym. Jednakże nie będę się niemi zajmował. Niech to czynią dzienniki. Jeżeli przyszłość kłam im zada — sądzę — nie zniechęci ich do tego fachu. Mnie, jako powieściopisarzowi, nasuwa się na myśl uwaga natury bardziej literackiej, którą zresztą rzucam tylko nawiasowo.

Oto, przyszło mi do głowy, że te blaski zorzy wieczornej, te morza płonące, pałace i mi-

narety, skąpane w purpurze i złocie, są czemś zupełnie równie rzeczywistem i realnem, jak psy zdechłe, leżące dziesiątkami po ulicach Stambułu. Istnieje wszakże szkoła powieściowa, której przedstawiciele, a zwłaszcza szary ich koniec, woli opisywać psy zdechłe, niż niemniej realne zachody słońca, błękitne roztocze morskie i podobne cudne widoki. Dlaczego? Zapewne istnieją rozliczne przyczyny, ale między niemi niezawodnie i ta, że do odmalowania piękna w całym jego blasku, potrzeba mieć więcej siły i więcej farb na palecie, niż do odmalowania obrzydliwości — i że wogóle łatwiej jest poruszyć ślinę, niż duszę.

Ale nie zamierzam prowadzić polemiki; dlatego wspomniałem o tych rzeczach tylko nawiasowo, poczem idę za biegiem okrętu. Statki pocztowe, wychodzące wieczorem ze Stambułu, stają o brzasku w Dardanelach, a świtaniem wychodzą na Archipelag. Jesteśmy więc w Dardanelach. Statek posuwa się wśród dwóch wązkich brzegów, na których widać forty i czarne paszcze dział, wyglądające z obu stron na cieśninę. Po chwili stajemy, bo statek przed wyjściem z tej gardzieli musi okazać papiery i wylegitymować się: skąd i dokąd płynie. Brzegi wydają się jałowe, zarzucone skałami, które, wietrzejąc, kruszą się i tworzą osypy kamie-

niste. Krajobraz cały, lubo właśnie słońce wschodzi w tej chwili i wyrzeźbia ślicznie wszystkie jego zarysy, wydaje się smutny i ubogi. Sama cieśnina węższa od Bosforu, a nawet od Wisły. Po prawej stronie bieleją domostwa Gallipoli, których nędzę i opuszczenie zdaleka nawet poznać można. I znów przychodzi na myśl pytanie, które na Wschodzie przychodzi niemal wszędzie — w Ruszczuku, w Warnie, w Burgas, w samym Stambule: zali to są te kraje, o które wylało się już tyle krwi ludzkiej, że możnaby nią całą tę cieśninę wypełnić? Zali dla tych miast, nawpół zapadłych w ruinę, zamieszkanych przez nawpół żebraczą ludność, dla tych jałowych pól, bezpłodnych skał, wydają się miliony, utrzymują się olbrzymie armie — i życie upływa pokoleniom ludzkim w niepewności dnia i godziny? W Dardanelach tembardziej każdy musi sobie zadać to pytanie. Są okolice, których głównym wyrazem jest dzikość, albo melancholia — ale nie zdarzyło mi się widzieć krajobrazu, któryby tak wyraźnie mówił: jestem starością i wyczerpaniem się, jestem opuszczeniem i nędzą! A jednak w tej cieśninie leży jądro całej kwestyi. Nie tyle chodzi o Bosfor, nie tyle o sam Carogród, ile o Dardanele. Ta wązka szyba wody, ten skalisty ku-

rytarz, jest jedynem oknem i drzwiami, które z tych stron na świat prowadzą.

»Czy pan czytałeś o owych sznurkach (mówił do mnie towarzysz podróży, Anglik), które sułtanowie posyłali niegdyś wielkim wezyrom lub niefortunnym wodzom? Otóż ta cieśnina jest takim sznurkiem: można nim zadusić morze Czarne i sam Konstantynopol«.

Tymczasem wjechaliśmy na Archipelag, na owo morze przesławne, o którem starożytni Grecy mówili, że jest obrazem nieba, bo tak samo jest usiane wyspami, jak niebo gwiazdami. Prawdopodobnie dlatego dali mu nazwę Arcymorza. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą skały Lemnos, pierwszej wyspy, którą dostrzega się po wyjściu z przesmyku. Nieco na północ rysowała się również wyraźnie perłowa Imbro, z drugiej strony, bliżej azyatyckiego brzegu, Tenedos. Powiewa tu jeszcze chorągiew Proroka, ale nad całym Archipelagiem unosi się duch starogrecki, starogreckie podania i pieśni. Może pod wpływem tych wspomnień brzegi owe wydają się jakieś odmienne od tego, co się poprzednio widziało, i odpowiadające owym konturom, którymi wyobraźnia określa brzegi greckie. Nagie to wszystko, co widać, bezpłodne, równie jak okolice Dardanelów; ni drzew, ni mieszkań ludzkich; ziemia szaro oliwnego koloru, jakoby

spalona i wyplowiała od słońca — ale porozciągana w długie i śmiałe linie proste, niby elementarne pierwowzory porządku doryckiego. Wzgórza piętrzą się jedne nad drugiemi — tu i owdzie wyskakuje w górę ledwie widzialny w błękitnej zasłonie oddalenia szczyt jakiegoś wiszaru; dalej głąb całkiem przesłoniona. Nad wszystkiem prosta i poważna melancholia. Niegdyś, wedle podania, w wulkanie Lemnu biły młoty Hefajsta. Może tu właśnie wykuwał sławną tarczę Achillesa? Dziś cicho w kraterze Mosychlosu — bo wulkan wygasł — i tylko podanie przeżyło wulkan i samego bożka.

Na prawo i na lewo ciągle widać wyspy, których wyliczaniem nie będę trudził niczyjej uwagi i pamięci. Wzrok na Archipelagu sięga dalej, niż na innych morzach europejskich. Nawet odleglejsze wyspy widzi się tak czysto i wyraźnie, że można odróżnić niemal każdy załamek skały i zarośla, pokrywające zręby wiszarów. Tyle tu światła leje się z nieba na ziemię, że i Włochy same nie mogą dać o tem pojęcia. Morze i niebo nietylko są lazurowe, ale i świetliste; gdzieindziej słońce świeci i pali, tu zdaje się przenikać cały krajobraz, wsiąkać weń, nasycać go i stapiać się z nim, wyłączając zupełnie wszelki cień. Dlatego nic tu nie rysuje się tak twardo, jak naprzykład nad brzegami

morza Śródziemnego. Wszelkie zarysy, na które oko pada, są jednocześnie i niezmiernie wyraźne i mimo tego miękkie, bo objęte jednym tonem, zarazem przejasnym i łagodnym.

Arcymorze nie zawsze bywa spokojne. Te same wichry, które zaniosły aż do Cyklopów nawę Odyseusza, pędzą czasem nakształt rozhukanych koni między wyspami; fala grzmi i ciska białą, jak śnieg, pianą aż na szczyty skał pobrzeżnych. Ale w chwili, o której mówię, błękitna roztocz była wygładzona, jak zwierciadło, i tylko za statkiem ciągnął się szeroki pienisty gościniec. Przez cały dzień nie powiał najmniejszy wiatr. Statek szedł, jakby po jeziorze, to też pokład roił się od podróżnych. Nie brakło nawet wykwintnych sukni kobiecych, bo Atenki, więcej jeszcze od innych có Ewy, lubią przy każdej sposobności nakładać na siebie co mają najlepszego.

Ów raut na pokładzie trwa do późnego wieczoru. Grecy łatwo zawierają stosunki, może dlatego, by swej gadatliwości dogodzić. Grzeczność ich jest nawet zbyt natarczywą, aby mogła być szczerą. Wogóle chełpią się przytem bez miary, nietylko swą dawną, ale i dzisiejszą cywilizacyą. Co chwila wyliczają cudzoziemcowi greckie znakomitości dzisiejsze, naukowe i artystyczne, znane niby i głośne w całej Eu-

ropie — i dziwią się, jeżeli ktoś o nich nie słyszał. Ten a ten malarz pogrążył zupełnie Gérôme'a swoim ostatnim obrazem; ten a ten uczony na kilka lat przed Pasteur'em począł szczepić wściekliznę, co, mówiąc nawiasem, było tem dziwniejsze, że choroby tej niemasz na Południu. Słuchając ich, sądziłbyś, że jak niegdyś Bóg spełniał swoje czyny przez Franków, tak dzisiaj z daleko większym skutkiem posługuje się Grekami. Jeżeli coś kapitalnego staje się na świecie, szukaj dobrze, a znajdziesz Greka.

Noc na Archipelagu równie jest piękna, jak dzień. Takie noce zwał Homer «ambrozyjskiemi». Stopy wysp obwijają się w mgłę leciuchną, ale księżyc bieli szczyty gór; zresztą żadnej chmurki na niebie — a morze całe w szlakach srebrnych. Jeden, najszerszy, utworzon przez księżyc — inne od gwiazd. Zjawisko to na północy nieznane, ale na południowych morzach widziałem niejednokrotnie te srebrne gościńce, a raczej pasma, igrające od gwiazd na wodzie. Płyniemy wśród ciszy takiej, że słychać każdy obrót śruby. Na widnokręgu dostrzedz można kilka statków, a raczej latarnie ich, podobne zdala do różnokolorowych chwiejnych punktów, pozawieszanych w powietrzu.

Statki owe płyną po większej części tak, jak

i my — do Pireus, w którym staniemy na świtaniu. Jakoż o pierwszym brzasku śruba przestaje huczeć, i nagła ta cisza budzi wszystkich. Ubrawszy się, wypadamy pośpiesznie na pokład — Pireus — Attyka.

Przypuszczam, że nawet najobojętniejszy człowiek z pewnem wzruszeniem staje na tej ziemi, w obliczu Aten. Kiedy w swoim czasie odniesiono Papieżowi wielką chorągiew całego Islamu, zdobytą pod Wiedniem, i żądano w zamian relikwii, Papież odrzekł posłom: «Nie wam relikwii prosić potrzeba; weźcie garść ziemi waszej, bo ona tam cała krwią męczeńską przesiąknięta». — Tak o tej ziemi attyckiej powiedziećby można również, że każda jej garść przesiąknięta myślą i sztuką grecką. Przypominacie sobie zapewne z drugiej części *Fausta* «macierze» — owe pierwokształty i pierwowzory wszystkiego, istniejące poza światami, przestrzenią, tak uroczyste w swoich nieokreślonych samotniach, że aż straszne. Attyka, nie będąc nieokreśloną, ani straszną, jest przecie intelektualną macierzą całej cywilizacyi. Bez niej nie wiadomo, gdziebyśmy byli i czembyśmy byli. Jest ona słońcem świata starożytnego, a po swym zachodzie dziejowym pozostawia jeszcze blask tak mocny, że z tych promieni narodzi się renesans po średniowiecznej pomroce. Mówię: Attyka, za-

miast Grecya, bo czem Hellada była dla świata, tem Attyka dla Hellady. Jednem słowem, wstępując na tę ziemię, jesteśmy u źródła. Inne cywilizacye na sąsiednim azyatyckim i afrykańskim lądzie, wśród innych szczepów, wyhodowały się na potwory — grecka jedynie pozostała człowiekiem; inne gubiły się w fantasmagoryach — ona jedna przyjęła za podstawę wiedzy i sztuki świat realny, a jednocześnie umiała z tych pierwiastków, czysto realnych, wytworzyć najwyższy ład, prawdziwie boską harmonię. Umiała być boską, nie przestając być ludzką — i to objaśnia jej znaczenie.

W chwili, gdym wstępował na tę ziemię, na niebo wstępowała właśnie «różanopalca» jutrzenka. Z Pireus do Aten można jechać koleją, ale nierównie lepiej jest wziąć powóz i widzieć dokładniej wszystko, co się da zobaczyć w ciągu pół godziny po drodze. Droga z Pireus, wysadzana po obu stronach platanami, idzie wśród tak zwanej równiny attyckiej, którą skrapia, a raczej mógłby skrapiać — Cefizus. Każda nazwa budzi tu w pamięci echa i wspomnienia historyczne. Gdyby nie to, Cefizus zresztą nie budziłby zbyt wielkiego uszanowania, bo jak w Polsce są takie mosty, których niema, tak i Cefizus jest taką rzeką, której niema — to znaczy, że w jego wyschłem i spieczonem ko-

rycie nie sączy się ani jedna kropla wody. Równina jest wązka. Po lewej ręce, w kierunku zatoki Eleuzyjskiej, widzisz góry Dafni i Poikilon, po prawej miodonośny Himetes i Pentelikon, który dziś jeszcze, jak i dawniej, dostarcza Atenom marmurów. Kraj wydaje się spalony słońcem, pusty, bezpłodny. Pola, wzgórza i skały mają ton popielaty, niezmiernie delikatny — z odcieniem nieco błękitnawym. Jest to barwa, w którą w Grecyi stapiają się wszystkie inne, i przeważa ona wszędy — na wyspach, równie jak na lądzie.

W pół drogi, lasek oliwny, zdaje się być także przytrząśnięty mdławym popiołem. Nad tem wszystkiem zwiesza się błękit bez chmurki, nie tak modry, jak we Włoszech, natomiast, jak już wspomniałem, stokroć świetlistszy. Ziemia — niby podarta. Opoka wietrzeje, kruszy się i rozsypuje. Nadaje to całej okolicy pozór ruiny i pustki. Ale dobrze jej z tem. Do twarzy jej ta cisza i zgrzybiałość, te senne laski oliwne i bezpłodne skały.

Główna droga idzie do dworca kolei, leżącego na końcu ulicy Hermesa, ale w pobliżu miasta powóz skręca na prawo, i wjeżdżamy na bulwar, wysadzany pieprzowemi drzewami. Wówczas na stromej skale dostrzegasz szereg złotawych kolumn, połączonych wyszczerbio-

nymi architrawami. Wszystko to rumiane od jutrzenki, rysujące się z nieopisaną słodyczą i czystością na niebie, niezbyt wielkie w rozmiarze, wielkie nad wszelką miarę w harmonii, spokojne, poprostu: boskie.

Drogman, siedzący na koźle, odwraca się i mówi:

— Akropolis!

Bliżej góry, na Ceramiku, wznosi się świątynia Tezeusza, stosunkowo najlepiej zachowana ze wszystkich pamiątek starożytnego świata. Potem, co krok, jakieś szczątki: mury pelazgickie, skały Pnyksu, grota Sokratesa i inne, wyglądające z pośród skał czarnymi otworami na światło dzienne. Pod samą górą krawędź wiszaru zasłania linie Partenonu; widzisz natomiast cały bezład ruin Odeonu Heroda i teatru Bachusa. Oko biega z jednego złamu na drugi; wyobraźnia pracuje, pragnąc odtworzyć ubiegłe życie; myśl nie może ogarnąć wszystkiego, i mimowoli ograniczasz się prostem przyjmowaniem wrażeń. Czujesz tylko, że tu naprawdę warto przyjechać, że tu nie będzie pobieżnego oglądania ruin z «Baedekerem» w ręku i pragnieniem w duszy, by co prędzej wrócić do hotelu. Ale powóz mija aż nadto szybko te półboskie głazy — i nagle jesteśmy w nowem mieście, w nowych Atenach.

Pomówmy więc o niem, zanim wrócimy do Akropolis.

Przyjechałem tak przygotowany na wschodnie brudy, na owe stambulskie brudy, przechodzące siłę nerwów przeciętnego człowieka, że doznałem najprzyjemniejszego zawodu. Naprzód, to nie prawda, że w Atenach widzi się o tyle zieloność, o ile podadzą sałatę na obiad. Może właśnie dlatego, że w kraju jej mało, miasto wysiliło się, aby swoje ulice i place ocienić drzewami. Wjeżdżałem do miasta koło Akropolu i Olimpionu, przez bulwar panhelleński, który jest jedną zieloną wstęgą. Pieprzowe drzewa, o jasno-zielonych delikatnych listkach, przypominają wierzby płaczące i nadają tej drodze wiosenny, majowy pozór. Wszędy widzisz ogrody, w nich palmy, czarne dęby, kaktusy i aloesy. Prawda, że wszystko to okryte jest szarym pyłem, idącym od skał i ruin, jakby te umarłe zabytki chciały mówić każdej żyjącej istocie: «Prochem jesteś i w proch się obrócisz» — można tu jednak już dziś znaleźć wszędzie cień i chłód. Główne ulice miasta są szerokie, domy duże, oślepiającej białości, bogatsze wykładane marmurem, który dotąd wydobywają z nagich boków Pentelikonu. Budowle te jednak nie są pozbawione ni wdzięku, ni lekkości. Wyjątek stanowi pałac królewski. Ściany

jego także są z pentelickiego marmuru, ale styl ciężki, koszarowy, sprawia, że rezydencya ta nietylko nie jest ozdobą głównego placu Konstytucyi, ale go szpeci. Na domiar — za pałacem i z jednego boku leżą wprawdzie okazałe królewskie ogrody, natomiast przed pałacem szarzeje prawdziwa pustynia, ciągnąca się aż do głównego miejskiego wirydarza. By nic nie psuło wrażenia pustyni, stoją na niej duże palmy, wyniosłe, odrzynające się twardo wśród pustoszy. Dodawszy Araba z wielbłądem, możnaby sobie wyobrazić, że się jest w Egipcie. Zresztą miasto jest jasne, schludne i zupełnie europejskie, ale budujące się pod łatwo zrozumiałym wpływem i na wzór dawnych porządków architekturalnych greckich, co mu nadaje pyszny pozór. Wszędzie spostrzegasz kolumny doryckie, jońskie i korynckie; fryzy, które począł rzeźbić człowiek, a dorzeźbia słońce. Uniwersytet, a zwłaszcza Akademia sztuk pięknych, ma wspaniałe i harmonijne kształty greckiej świątyni.

Wedle portyku wznoszą się dwie potężne kolumny z pentelickiego marmuru o złoconych eschinusach i abakach. Na jednej stoi olbrzymia Pallas Atene, w hełmie na głowie i z włócznią w ręku, na drugiej równie olbrzymi Apollo z formingą. W nocy, przy blasku księżyca, te

marmury wydają się jasno-zielone, tak czarująco leciuchne, jakby nie ciężyły ziemi. Może specyalista budowniczy zarzuciłby to i owo tym budowlom, ale bądź co bądź, stanowią one dekoracyę miasta, jedną z najpiękniejszych, jakie zdarzyło mi się widzieć.

Bogatszą część miasta, to jest bliższą placu Konstytucyi i pałacu królewskiego — zatem bulwar panhelleński, bulwar uniwersytecki, ulicę Stadin i wiele przyległych, aż do placu Zgody — zbudowali bogacze greccy, zamieszkujący już to Fanar stambulski, już to Odesę, Marsylię i inne portowe miasta. Ludzie ci, przy wrodzonej Grekom zdolności do handlu, dorobili się milionowych fortun, ale — należy im oddać tę sprawiedliwość — nie zaprzedali ducha greckiego. Odeski lub marsylski wekslarz, który mógł uznać się za potomka Miltyadesa i powołać na Maraton, Leonidasa — i powołać na Termopile, Temistoklesa — i powołać na Salaminę, Fidyasza lub Apellesa — i powołać na ruiny Akropolu — zyskiwał to, czego za żadne w świecie pieniądze kupić nie można. I oto k'woli temu uznaniu, k'woli tej sławnej przeszłości, płynęły do Attyki miliony ze wszystkich krajów; wśród dzikich wąwozów powstawały koleje żelazne i bite drogi; w miastach, zamieszkanych przez

dzikich palikarów, zakładano szkoły, a na ruinach starych Aten — nowe Ateny.

Kupcy i handlarze dzisiejsi osiedli przeważnie wzdłuż ulicy Hermesa, który, jak wiadomo, jeszcze za czasów Zeusa był patronem kupiectwa. Wogóle cała dolna część miasta, ku Garze i Ceramikowi, jest pod jego patronatem. Tu leży bazar, przypominający inne wschodnie bazary; tu roi się ludność ruchliwa ogromnie, gestykulująca i mówiąca tak głośno, jakby pragnęła odurzyć przechodnia. Życie i handel odbywa się na ulicach, jak wszędzie w południowych miastach; wieczorem, gdy skończy się upał dzienny, ruch największy. Sklepy otwarte do późna. Płomieniste kiście gazu oświecają składy towarów, przepysznych owoców i kwiatów.

Od godziny jednak czwartej, nietylko na ulicy Hermesa i w części handlowej miasta roją się tłumy, ale pełno ich i w bogatych dzielnicach. Odof Stadin, przy której mieszkałem, jest modnem miejscem przechadzek, bo w porze przedpołudniowej, na chodnikach, trudno się było przecisnąć, a środkiem postępowały powozy jedne za drugimi. Kobiet mniej tu wszakże, niż mężczyzn, zwłaszcza między pieszymi. Może to resztki wpływów wschodnich, a może zwyczaj zamykania kobiet po domach powstał i utrwalił się za czasów tureckich, gdy młodej kobiecie

niezbyt było bezpiecznie narzucać się oczom bim-baszich i bejów? Mało tu zresztą pięknych twarzy między kobietami. Typy to raczej ormiańskie, niż greckie. Czasy Fryne i Lais są dalekie, i żaden areopag nie uniewinniłby dzisiejszej Greczynki tylko k'woli jej wdziękom. Czytałem, że mieszkanki Megary i dawnej Lakonii, oraz niektórych wysp, przechowały dawny typ helleńskiej piękności, ale w Megarze tego nie dostrzegłem, a nad brzegami Eurotu, ni na wyspach, nie byłem.

Za to między mężczyznami widzi się wiele postaci, zarazem pięknych i dzikich. Zapewne, że jasnowłosy Achilles inaczej musiał wyglądać; ale tak mógł wyglądać Kanaris. Wielu też nosi jeszcze kostium albański, składający się z pustanelli, to jest białej, sięgającej prawie do kolan spódniczki, fezu i kaftana, zahaftowanego zupełnie jedwabiem lub złotem. Biodra ich otacza pas, za który zatykali dawniej cały arsenał handżarów i pistoletów, a w którym noszą dziś chustkę od nosa. Jednakże, mimo tej chustki, która jest niezaprzeczonym, w stosunku do dawniejszych czasów, postępem, są to zresztą zawzięci konserwatyści i przeciwnicy wpływów zachodnich. To też tak ubranych spotyka się przeważnie starców. Jednakże na wzór owych palikarów poprzybierano całe oddziały wojska,

i to nadaje miastu odrębny od innych miast pozór.

Grecy, mieszkający po wsiach, mimo rozbójniczych instynktów, które jakoby nie wszędy wygasły, są podobno uczciwi, pracowici i wierni zobowiązaniom; mieszkańcy miast mają ustaloną w całym świecie wcale nieszczególną opinię. Bawiąc między nimi niespełna miesiąc, sądzić o tem z własnych spostrzeżeń nie mogę. Ale nawet tak krótki pobyt wystarcza, aby zauważyć, że w żadnem innem mieście, ni kupcy, ni właściciele gospód, ni przewodnicy, ni wynajmujący konie lub powozy, ni wekslarze, nie mówią tak dużo o swej uczciwości, jak w Atenach. Wydaje się to trochę podejrzane.

Nowsi podróżnicy, którzy albo spędzili dłuższy czas w Grecyi, albo którzy po krótszym mają odwagę wypowiadać stanowcze zdanie, wypowiadają o Grekach wogóle sąd ujemny.

Zmarły niedawno Edmund About napisał o Grecyi płytką, ale ciekawą i pełną dowcipnych spostrzeżeń książkę. Jednakże złośliwy «wnuk Voltaire'a», jak go nazywano, mimo, iż stara się być bezstronnym, ocenia zbyt szydersko potomków dawnego ateńskiego Demosu. Podług niego, Grecy dzisiejsi pochopnością do kłamstwa mogliby zawstydzić swego praojca Ulisesa, jego opiekunkę Pallas Atenę i dawniej-

szych Kreteńczyków, którzy podług Epimenidesa tak celowali w tej sztuce. Są przytem chciwi nad wszelki wyraz; ludzi innych narodowości znoszą o tyle, o ile mogą ich obdzierać. Pod względem odwagi, Kanaris, według About'a, był wyjątkiem, i dlatego o nim tak głośno, Grecy zaś wogóle są tchórzami. About posuwa się nawet tak daleko, iż twierdzi, że zawsze nimi byli, nawet za czasów oblężenia Troi. Brak im wreszcie zupełnie uczuć rycerskich, poczucia dobrej sprawy, sprawiedliwości, natomiast mają ślepą cześć dla wszelkiej siły — wraz z odpowiednią pogardą dla wszelkiej niemocy, ubóstwa i niedoli.

About między tysiącznemi anegdotami, przytacza jedną, którą niech i mnie będzie wolno za nim powtórzyć, jako obchodzącą nas bliżej.

Po burzach, które wstrząsnęły monarchią habsburską w 1848 r., garstka Polaków osiadła w Atenach. Ludzie ci marli z głodu i febry, bo klimat Aten jest przy dłuższym pobycie dla cudzoziemców szkodliwy. Jednak i te szczupłe środki, jakich im dostarczano, były dla Greków solą w oku. Znieważali też owych rozbitków na każdym kroku. Wyzywani na pojedynki, trzymali się dzielnie i nie stawali na placu. Ale pewnego razu zdarzył się w Atenach pożar, który groził całemu miastu. Grecy zbiegli się

zewsząd, by patrzeć na ogień, gestykulować i wrzeszczeć — Polacy (proszę pamiętać, że cytuję słowa About'a) rzucili się w środek płomieni i ugasili je z największem narażeniem życia.

A teraz niech kto zgadnie: jaka spotkała ich nagroda?

Oto nakazano im opuścić Grecyę!

Postąpiono tak dlatego, że po owym uczynku stali się głośni kosztem Greków, że wieść o ich uczynku, a zatem i o ich pobycie w Atenach, rozeszła się po całej Europie, że zatem mogła ściągnąć uwagę, a może i jaką dyplomatyczną notę nieprzychylnego wówczas wielce dla rozbitków austryackiego rządu.

I to była wystarczająca przyczyna.

Jeśli słowa About'a są prawdziwe — a nie był on tak dalece naszym przyjacielem, aby aż miał wymyślać anegdoty na naszą większą chwałę — to należy przyznać, że potomkowie wynalazcy logiki nie przestali wprawdzie być logicznymi, jak sam Stagiryta, ale tradycye Arystydesa zginęły między nimi na zawsze.

Jednakże w tem, co mówi wspomniany autor, i inni nowsi o Grekach, musi być niewątpliwie wiele przesady, a może więcej jeszcze nieporozumienia. Przedewszystkiem, każdy taki podróżnik przynosi z sobą gotową miarę etyczną,

bardzo rozległą, bo będącą wypływem cywilizacyi zachodniej i jej wyrobionej kultury moralnej. Owóż taką skalą mierzą społeczeństwo, które dopiero przed niedawnym czasem wydostało się z niewoli, istotnie sromotnej i upadlającej, a mierzą tem bezwzględniej, że chodzi o obcych, nie o swoich. Zapominają także i o tem, że jak naprzykład pojęcia honoru i rycerskości były obce światu starożytnemu, tak samo może istnieć cała sfera pojęć moralnych, obcych ludom wschodnim; że te ludy, zwłaszcza podbite, jak byli Grecy, nie miały, ściśle mówiąc, przez długi czas żadnych pojęć, a rządziły się, bo się musiały rządzić, jeno zwierzęcym, samozachowawczym instynktem. Instynkt ów był dla nich miarodajnym i rozstrzygał zarówno w kwestyach etyki, jak logiki.

Dzikie ludy są wszędzie jednakowe. Kiedy raz misyonarz zażądał od nawracanego przez się murzyna, aby mu dał przykład, co wedle jego pojęć jest złem, dziki zamyślił się i odrzekł:

— Złem jest, jeśli mi kto naprzykład żonę ukradnie.

— Doskonale! — odrzekł ucieszony misyonarz. — A dajże mi teraz przykład dobrego.

Dziki nie zawahał się ani chwili:

— A dobrem jest, jeśli ja komu żonę ukradnę.

Oto jest logika ludów dzikich, zdziczałych lub dziczejących.

Jest ona także dość powszechna na Wschodzie.

Ale dajmy pokój Grekom. Starą anegdotę Peschla przytoczyłem dlatego, że logikę w niej zawartą, słyszymy i w życiu codziennem i publicznem. Grzmi ona coraz powszechniej, rozlega się w łamach dzienników, wzbiera jak fala, zatapia codzień różnicę między złem a dobrem, między sprawiedliwością a niesprawiedliwością, paraliżuje zdolność moralnego oryentowania się na manowcach publiki, niszczy i sprowadza do zupełnego zaniku zmysł moralny opinii publicznej, która w końcu nie wie, lub nie chce wiedzieć, za kim ma się ująć, a kogo napiętnować. Dzikim dzisiejszy świat nie jest, ale być może, że pod pewnym względem dziczeje.

About pisał swoją książkę trzydzieści lat temu. Obecne greckie pokolenie nie postąpiłoby już tak, jak jego współcześni. Nie postąpiłoby tak, bo się cywilizuje, w dobrem znaczeniu tego słowa, bo jako odrodzone, jest młode, pełne entuzyazmu, więc wyrabia w sobie i doskonali stopniowo wszystkie władze ducha, a zatem między innemi i zmysł moralny. Równowaga tu jeszcze nie popsuta. Oni właśnie przestają być

dzikimi, nie zaś dziczeją; dlatego mają już wstyd w oczach.

Mają, prócz tego, jeszcze jeden wielki przymiot, którego im nikt nie odmawia, to jest patryotyzm.

Patryotyzm ten opiera się na miłości do dawnej Hellady, równie jak i do dzisiejszej.

Mniejsza z tem, że nić tradycyi nawiązana została nieco sztucznie; mniejsza z tem, iż uczeni twierdzą, że Grecy dzisiejsi mają w żyłach zaledwie małą cząstkę krwi dawnych anaktów helleńskich, a natomiast są przeważnie mieszaniną dawnych niewolników różnych narodowości, Albańczyków i Słowian. Oni, jak są spadkobiercami ziemi, tak chcą być i są spadkobiercami tradycyi. Stąd ich patryotyzm nie jest jako ta roślina, która się tylko powierzchni ziemi czepia, którą zatem pierwszy lepszy wiatr wyrwać może, ale wrósł w grunt i posiada siłę niewzruszoną. Posiada ją właśnie dlatego, że jest i historycznym i chce iść z postępem w przyszłość, ale wie, że racya jego bytu i źródło wiecznie bijące — na Akropolu. Więc pójdźmy i my na Akropol, bo to jest tego rodzaju źródło, że każdy z nas może w niem zaczerpnąć, jeśli już nie czego innego, to przynajmniej wrażeń artystycznych.

Cała równina attycka jest tak mało rozległa,

a wszystko tak blizkie, że podróżni ze statków, zatrzymujących się w Pireus tylko sześć godzin, mają czas tu przyjechać, obejrzeć świętą skałę. Olimpion, Tezejon, ruiny objęte nowem miastem, starożytny cmentarz Hagia Triada, muzea — i wrócić na godzinę odjazdu. Tembardziej miałem więc czas i możność, nie do naukowych badań, ale do dokładnego oglądania, bawiąc przeszło trzy tygodnie w samych Atenach. Ale to pewna, że łatwiej jest pójść z Placu Konstytucyjnego na Akropol, niż go opisać. Przytem praca moja idzie inną drogą; nie jestem hellenistą, więc chciałbym raczej zdać tylko sprawę z wrażeń, nie zaś rozprawiać szczegółowo o zabytkach, o których popisano tomy całe — owoce mozolnych i długoletnich trudów.

Idzie się wężowatą drogą, pod górę, zarosłą agawami i kaktusami. Przed sobą i nad sobą widzisz tylko olbrzymi mur, szary, pokruszony, który częściowo tylko jest zabytkiem helleńskim, częściowo zaś wznosili go łacinnicy, lub nawet Turcy. Z poza zrębu wyglądają trójkątne szczyty i wydłużone przecznice świątyń. Pusto było, gdym szedł; naokoło ani żywej duszy, bo godzina była południowa i upał, pomimo, iż poczęły się już pierwsze dni listopada. W bocznej bramie drzemie stary weteran, mijasz go, przechodzisz obok domu, przy którym

nagromadzono stosy marmurowych oblamków. Droga zakręca się raz jeszcze, wchodzisz schodami na górę i jesteś w Propylejach, przez które obejmujesz okiem całe szczytowe płaskowzgórze. Pierwsze wrażenie: ruina! ruina! cisza, śmierć! Niektóre zewnętrzne doryckie i wewnętrzne jońskie kolumny Propylejów, porozsuwane, trzymają się tylko ciężarem głazów; ściany strzaskane, wyszczerbione, przeświecające na wylot, poobłamywane; nigdzie poza tą sławną bramą łokcia swobodnego gruntu. Cała przestrzeń płaskowzgórza zarzucona i zawalona trzonami kolumn, zrębami przecznic, fryzów, oblamami metopów, kapiteli, kostkowymi głazami ścian. Wszystko to, prócz kilku świątyń, narzucone jedno na drugie, obsuwające się, zwieszone, pochyłe, spiętrzone, leżące w dzikim bezładzie, o którym nawet Forum rzymskie nie może dać pojęcia. Podróżnikowi przychodzi do głowy, że się tu odbyła jakaś straszliwa walka olbrzymów, lub olbrzymich sił, od których góra się trzęsła, pękały mury, aż wreszcie runęło wszystko i pozostało tylko zniszczenie.

Więc pierwszem wrażeniem, jakie się otrzymuje po przejściu Propylei — jest wrażenie katastrofy.

Chodzi się cicho, bo wszystko, co nas otacza, tak doskonale umarłe, że się nam nasze

własne życie, nasz własny ruch, wydaje czemś obcem i niewłaściwem w tych miejscach.

Gdyby się spotkało znajomego, wolałoby się z nim nie mówić, tylko spojrzeć mu pytająco w oczy i przejść i siąść gdzieś w cieniu i patrzeć: jak słońce zatapia w blaskach rumowisko.

Bo tu światło, jak już mówiłem, nie pada, ale, zwłaszcza o tej godzinie, leje się potokiem. I zdawaćby się mogło, że te gorące, żywe zdroje są czemś przeciwnem ruinie, temu zniszczeniu i tej śmiertelnej ciszy. Gdzie tam! I ruina i zniszczenie zyskują tylko przez nie większą wyrazistość — niemal nieubłaganą.

Więc siedzisz, patrzysz na to kamienne uroczysko, na zatopione w świetle marmury Partenonu i Erechtejonu, aż wreszcie coś wstaje od ruiny, idzie i wstępuje w ciebie. Zaczynasz się jednać z tym światem, później bratać. Wtedy ci jest dobrze, bo wchodzi w ciebie ogromny spokój, ale to taki ogromny, jaki tylko może mieć kamień i ruina.

Ich cisza staje się ciszą wędrowca. A przypuszczam, że im więcej kto ma duszę obolałą, tem mu tam musi być lepiej. Chciałoby się głowę oprzeć o pilastr kolumny, zamykać i otwierać naprzemian oczy — i koić się. Coraz bardziej robi się swojsko, coraz przyjaźniej spogląda wędrowiec na te rozległe linie Partenonu, na

biały Erechtejon i na leżące niżej Propyleje. A trzeba to chyba widzieć, aby pojąć, jak się owe złotawe ze starości budowle rysują w słońcu i błękicie, jaki spokój tych architrawów, tych szeregów kolumn i frontonów! Prostota, spokój, powaga i prawdziwie boski ład — oto one. Odrazu trudno tego dostrzedz; czar działa zwolna, ale tem mocniej przenika i w końcu upaja. I poznajesz, wędrowcze, że nie sam tylko spokój dały ci te arcydzieła, ale że cię upoiły własną pięknością, a co za tem idzie: i słodyczą.

I oto są stopniowe wrażenia, przez jakie się przechodzi na Akropolu. Gdy jesteś tam na miejscu, działają one tak silnie, że nikomu do głowy nie przyjdzie otworzyć drukowany przewodnik i szukać w nim szczegółów. W domu dopiero wyczytasz, że świątynka Nike Apteros, niedawno z gruzów została na nowo złożona; że lord Elgin zabrał do British Museum jedną z przecudnych karyatyd, podpierających prawy portyk Erechtejonu; że tamże powędrowały metopy partenońskie; że wybuch prochów tureckich był przyczyną ruiny środkowej części celli tej świątyni; że odlewy metopów można widzieć w muzeum, na tejże skale leżącem; że w Erechtejonie był harem baszów i t. p.

W pierwszej chwili również wszystko ci jedno, że Partenon jest zbudowany w czystym

stylu doryckim, Erechtejon i Nike Apteros są jońskie, a w Propylejach znajdują się kolumny obydwóch porządków. Wiedziałeś to już przed przybyciem do Aten. Tu wieje na cię przedewszystkiem ogólny duch, a raczej geniusz dawnej Hellady — i tchnienia tego rozpraszać, ani analizować nie chcesz.

I wnet wyobraźnia poczyna pracować, zaczem przedstawia sobie, jak taki Akropol wyglądał za czasów Peryklesa, gdy wszystko stało na miejscu, gdy istniały świątynie, po których już niema śladu, a między niemi las posągów; gdy Partenon nie był odarty ze wszystkich swych ozdób; gdy z dołu można było oglądać w jego frontonach narodziny Ateny, i po drugiej stronie spór jej z Neptunem — a włócznię Ateny Promachos widać było aż z morza. Wyobraźmy sobie zwłaszcza taką procesyę Panatenów, kapłanów, archontów, wojowników, lutnistów, lud, byki o złoconych rogach, prowadzone przed ołtarze opistodomu, i wieńce kwiatów, i te draperye klasyczne, układające się posągowo. Ale prawie wolę jeszcze przedstawić sobie w myśli noc i jasno zielone światło księżyca na marmurach. Aż trudno uwierzyć, żeby ludzie mogli stworzyć taką górę arcydzieł, a jednak można to sobie wytłómaczyć. Mitologia grecka była czcią sił przyrody, czyli elemen-

tarnym panteizmem. Ale w duszy Greka artysta przeważał zawsze nad filozofem, więc naprzód poeci ubrali zjawiska w ciała i uczucia ludzkie, później przyszła sztuka plastyczna, i stąd narodziła się taka cudowna baśń kamienna.

Atena umiała też sobie wybrać miejsce na stolicę, bo cóż to za tło dla tych świątyń i posągów! Z jednej strony widać morze, które w tem przezroczem powietrzu wydaje się tuż; z drugiej całą Attykę, jak na dłoni: góry Hymetu, dalej Pentelikon, na północ Parnas, a ku południo-zachodowi, ku cieśninie Salamińskiej, Dafni. Nad wszystkiem niebo ciągle pogodne i orły, których krakanie przerywa do dziś dnia ciszę na Akropolu.

Wrażenia, jakich doznaje się na widok innych ruin, są tylko słabszem odbiciem tych myśli i uczuć, które rodzą się w duszy na widok zabytków akropolskich. Dziełom Mnesiklesa, Iktinosa i Kallikratesa, nie wyrównał już nikt, ani przed Peryklesem, ani po nim. Oni stworzyli nietylko Partenon, Erechtejon lub Propyleje, ale zarazem ustalili architekturalny dogmat, którego odtąd będą się trzymali wszyscy budowniczowie świata starożytnego. Rzymianie pozwolą sobie dorzucić łuk swój własny, będą wznosić colosea, termy, cyrki, okrągłe świątynie, nakształt panteonu Agrypy, ale oto wszystko. Zresztą pójdą

śladem owych nieśmiertelnych poprzedników i od dogmatu nie odstąpią. Mogą tylko przesadzić arcydzieła akropolskie ogromem i czynią też to w samych nawet Atenach.

Poniżej Akropolu, na wschód od urwiska, wznosiła się nad Illisem świątynia Jowisza olimpijskiego, wykończona ostatecznie dopiero za czasów cesarza Hadryana. Dziś, ze stu dwudziestu kolumn, które ją składały, pozostało tylko 16, mianowicie 13 z jednego końca, a 3 z drugiego. Kolumny owe, czysto korynckie, mają po sześć stóp średnicy i po 60 wysokości. Była to największa świątynia na równinie, skrapianej przez Cefizus i Illisus. Titus Livius, mówiąc o niej, powiada, że była jedyną godną rozmiarami wielkości boga, któremu została poświęconą *(unum in terris inchoatum pro magnitudine dei)*. I być może. Zeus, jako ojciec Ateny i najpotężniejszy z bogów, zasługiwał na potężniejszą świątynię, ale Atena, będąc patronką Aten, była zarazem boginią mądrości, więc Zeus mógł mieć tylko zolbrzymione odbicie pierwowzorów i pierwokształtów, które wyszły bezpośrednio z myśli, przez «sowiooką» natchnionej.

Nie wypada z tego bynajmniej, abym miał twórców akropolskich świątyń uważać za pierwszych wynalazców greckich porządków. Prze-

ciwnie, rzekłem tylko, że oni ustalili dogmat, bo umieli stać się ostatnim i najwyższym wyrazem architektury greckiej, jak Fidyasz był swego czasu najwyższym wyrazem rzeźby. Ale przecie świątynia Tezeusza, tak podobna w mniejszych rozmiarach do Partenonu, stanęła przed Partenonem, równie jak zapewne i wiele innych, po których zostały jeno gdzieniegdzie osamotnione kolumny. Ów Tezejon jest najlepiej zachowanym zabytkiem przeszłości. Na Akropolu była forteca, więc gmachy, tam stojące, narażone były na wszelkie ciosy wojny, a w nowszych czasach na bombardowanie. Tezejon stał w środku miasta. Ulegał on raczej zmianom tylko wewnętrznym, gdy ze świątyni pogańskiej przerabiano go na chrześcijański kościół. Zburzono wówczas kolumny wewnętrzne pronaosu, a natomiast zbudowano półkolistą niszę, w której mieścił się ołtarz; wybito wielką bramę w murze, oddzielającym cellę od opistodomu, i oczywiście wyrzucono wszelkie posągi ze środka świątyni. Dziś, w środku widać tylko cztery nagie ściany. Światło z trudnością przenika do wnętrza, które zamieniono na rodzaj muzeum, albowiem ustawiono w niem bądź odlewy gipsowe, bądź okruchy rzeźb, zdobiących dawniej świątynię. Jak mówiłem, przypomina ona Partenon, ale stojąc na płaszczyźnie, nie

sprawia tego imponującego wrażenia, zwłaszcza, że i rozmiary jej są daleko mniejsze. Partenon miał w długości po siedmnaście kolumn, Tezejon ma ich tylko po trzynaście i daleko drobniejszych. Partenon miał w szerokości ośm kolumn, Tezejon jest heksastylem. Wreszcie był daleko mniej ozdobny, bo Fidyasz zapełnił oba frontony akropolitańskiej świątyni posągami i wszystkie metopy płaskorzeźbą. Tezejon miał tylko fryz na zewnętrznym murze celli, a metopy tylko na wschodnim boku, pokryte płaskorzeźbą, wystawiającą czyny Tezeusza, dokonane przy pomocy Heraklesa. Wschodni fronton posiadał także rzeźby, z których się nic nie zostało.

Ale to są szczegóły, które miałyby wartość wówczas tylko, gdybym mógł dodać do nich przynajmniej rysunki tych gmachów. Świątyńka Tezeusza dlatego jest ciekawą, że zachowała się dobrze i że daje nam zatem najdokładniejsze pojęcie o architekturze doryckiej, zarazem tak poważnej i pogodnej. Stoi ona na obszernym placu, na którym niemasz ni drzewa, ni źdźbła trawki, więc jej złotawe ze starości kolumny odbijają się z jakimś melancholijnym wdziękiem na owem szarem tle.

Z placu widać skały Pnyksu. Było to niegdyś miejsce zgromadzeń ludowych. Schody kamienne, powykuwane tu i owdzie w skałach, wskazują,

którędy przechodziły gminy, aby się dostać na najwyższy taras, z którego widzi się pod stopami Ateny, po prawej ręce Muzejon, wprost Akropolis. Budowli niema tu żadnych, są tylko ślady olbrzymiej trybuny, zwanej w starożytności Bema, na której zasiadał lud podczas obrad. Skały te, całkowicie ogolocone z roślinności, stoją wiecznie pustką: nie spotkałem na nich żywego ducha, gwar miejski tu nie dochodzi, ciszę przerywa tylko czasem krakanie orłów. Mimowoli przychodzi na myśl wiersz Słowackiego:

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo,
Tu czarby smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów, a te puchy
Chodzą i w grobach latają, jak duchy.

Nie tak cicho, ale równie pusto jest na Areopagu, leżącym na skłonie Akropolskiej góry. Prócz miejscowości uświęconej tradycyą i głębokich szczelin w skałach, zarzucanych śmieciami, niemasz tam nic do widzenia.

W samem mieście i w jego okolicach jest jeszcze nieco zabytków godnych uwagi, jak oto: stoa Adryana, stoa Attala, Agora, wieża wiatrów, mała kapliczka Lisikrata, łuk Adryana i pomnik Filopaposa, wreszcie odkryty przed

niedawnymi czasy cmentarz Hagia Triada, na którym można widzieć kilka pięknych, nawet bardzo pięknych grobowców. Ale nie usiłuję dać opisu ruin, zdaję tylko sprawę z wrażeń, więc zatrzymałem się głównie na Akropolu, który najsilniej przemawia do duszy, bo streszcza w sobie wszystko, co najpiękniejszego wydała cywilizacya helleńska w zakresie sztuki plastycznej, i całą potęgę greckiego geniuszu. Tucydydes zapewne Akropol miał na myśli, mówiąc, że gdyby Ateny klęsce uległy, sądzonoby z ruin pozostałych, że były miastem dwakroć potężniejszem, niżeli są w istocie. Ateny jednak były jeszcze czterykroć razy potężniejsze, niż to przypuszczał Tucydydes. Oto dawne miasto klęsce uległo i leży w gruzach, ale geniusz miasta stworzył zbyt wiele, aby ludzkość mogła kiedykolwiek zapomnieć, ile mu winna. Zapominała i tak zbyt długo, ale takie obowiązki narzucają się zarówno pamięci, jak sumieniu. Dzięki tym uczuciom, wydarto ową sławną ziemię Turkom. Nie sam tylko interes polityczny nakazywał wskrzeszenie Grecyi, ale dla Europy był to dług do spłacenia, była to kwestya poprostu wstydu. Są rzeczy, których najbardziej nawet rozluźnione sumienia ścierpieć nie mogą, i oto nadeszła chwila, w której zahuczały armaty pod Nawarynem. Ale bądźmy pewni, że

gdyby nie owo olbrzymie *credit*, które na rachunek Grecyi zapisała cywilizacya, gdyby nie jej sława i czyny, gdyby nie pieśni Homera, nie wspomnienia Maratonu i Salaminy, nie te ruiny akropolskich arcydzieł, baszowie do tej pory mieliby swoje haremy w Erechtejonie, a ze szczytów Akropolis powiewałaby chorągiew Proroka. Więc gdy powiem, że Grecyę dzisiejszą odbudowali Homer, Milcyades, Leonidas, Temistokles, Fidyasz, Perykles i inni bohaterowie lub geniusze tej miary, nie będzie to figurą retoryczną, ale dziejową prawdą. Pracując dla sławy swego narodu, pracowali, nie wiedząc o tem, dla jego odrodzenia — i tacy nieśmiertelni agenci sprawili, że Grecya żyje.

KONIEC TOMU DWUDZIESTEGO SZÓSTEGO.

SPIS RZECZY.

	Str.
Pójdźmy za Nim	5
Lux in tenebris lucet	57
Bądź błogosławiona	75
Listy o Zoli	83
Wycieczka do Aten	117

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.26
486089

DATE
NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET